

IGNACY STRYCHARSKI

PROZA WŁOSKA

XIX WIEKU W PRZEKŁADACH



LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH
WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY ŚWIAT L. 69
KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, UL. ŚW. ANNY L. 11
POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
WILNO, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

1924

Kehms

PROZA WŁOSKA W PRZEKŁADACH



1000171924

IGNACY STRYCHARSKI

PROZA WŁOSKA

XIX WIEKU W PRZEKŁADACH

WSTĘPEM ZAOPATRZYŁ

Dr. JÓZEF GLUZIŃSKI



LWÓW-WARSZAWA-KRAKÓW

WYDAWNICTWO ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH

WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY ŚWIAT L. 69

KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, UL. ŚW. ANNY L. 11

POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

WILNO, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA

1924

A. 24.659

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

liter 13 d

1K.4/59/24

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
pod zarządem Adama Wierzbickiego.

*Pamięci
Najlepszej Matki*

WSTĘP.

Literatura romańska zajmuje niepoślednie miejsce w rozwoju kultury umysłowości europejskiej. Wzniosłe myśli synów Italji, Dantego, Petrarki, Arjosta, francuski genjusz Chateaubrianda, Lamartina i Wiktora Huga, wielkość tragizmu dzieł Hiszpanów, Lopeza de Vega i Calderona, są po dzisiaj niewyczerpaną krynicą piękna, ponieważ noszą w sobie pierwiastki nieśmiertelnego ducha ludzkiego.

Kształtowanie się polskiej kultury w ciągu wieków wiele zawdzięcza słonecznej Italji, z której — od czasów średniowiecza — płynęło światło piękna i wspaniałości do ojczyzny Kochanowskich, Górnickich, Morsztynów. Złote nici ducha spadkobierców starożytnego Rzymu przetykają kanwę polskiej twórczości epoki odrodzenia, kiedy to w epoce zygmuntońskiej wpływ włoski znalazł silny oddźwięk w naszej cywilizacji towarzyskiej, zwyczajach, budowlach, polityce i literaturze. W czasach zaś niewoli łączyła nas z Italją wspólna

tęsknota: podniesienie ideału narodowego do pierwszej zasady życia społecznego stanowiło najszczytniejszy cel Polaków i Włochów.

Włosi wyzwolili się i zjednoczyli narodowo w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Dokonały tego czyny nie tylko Garibaldi, lecz także dzieła Manzoni, Silvia Pellica, Foscola, Carducci i wielu innych poetów i pisarzy. Cała literatura włoska XIX wieku brzmi nutą narodową — i ten rys jej charakteru czyni ją naszemu sercu tak bliską i kochaną. Wspólne sympatje obu narodów objawiały się czynami politycznymi, jak owem wystąpieniem niezapomnianego, poległego w polskim powstaniu 1863 r. Franciszka Nulla.

Obecna chwila, może jak nigdy przedtem, wymaga od nas przepojenia się pogodą i słońcem piękna, dla wielkości odnawiającej się Ojczyzny. To słońce duchowe przejąć możemy z krainy Petrarke, z gorącej ziemi Italji.

Rzeczywistość i prawda w spojrzeniu na świat są cechą jej współczesnej literatury. Gdy po latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zjednoczyli się Włosi, ich pisarze stworzyli prąd jeden jedyny w Europie, znany pod nazwą weryzmu. Odmalowanie ludzkiego życia takim, jakie ono jest w istocie, wyraziste przedstawienie go — to dopiero część zasady weryzmu, która niczem nie odróżniałaby go od naturalistycznego światopoglądu. Jednak różnica jest głęboka: naturalizm kopał w ciemnych labiryntach człowieczego bytu i przy-

stępował do niego jak lekarz ze skalpelem, na zimno. Weryzm natomiast otulił każdy czyn i każdą namiętność idealnym woalem piękna — choćby ono niekiedy groźne i straszne było w następstwie swego działania. Pisarze Verga, Matylda Serao i inni weryści łączą realizm z nalotem idealistycznym. Ten przymiot, tak bliski charakterowi polskiego ducha, sprawia, że z łatwością możemy wczuć się w ich twórczość.

Podany zbiorek przekładów prozy włoskiej obejmuje autorów wieku XIX, z nich wielu jeszcze żyjących i tworzących. Przewijają się przed naszymi oczyma Manzoni i Silvio Pellico, ci najstarsi z walczących cyrnem i piórem o niezawisłość swej ojczyzny; Barrili i Castelnuovo, którzy wskrzesili romans psychologiczny, Fogazzaro, surowy moralista o niezłomnych zasadach etycznych. Spotykamy się z de Amicisem, hołdującym czystemu realizmowi i przyjacielem włoskiej młodzieży; odnawiamy dawną zażyłość ze znaną u nas z tłumaczonych powieści werystką Matyldą Serao i Gracją Deleddą, która odtwarza z psychologiczną wiernością życie Sardynji. By nie przedłużyć wyliczania tłumaczonych autorów, wspomnieć musimy na zakończenie o twórcy powieści „Forse che si, forse che no“, Gabrjelu d'Annunziu.

Hugo Ojetti, pisząc swój przegląd literatury włoskiej u schyłku XIX wieku, zakończył go inwokacją do słońca: „Podczas, gdy to kreślę, dzień ma się ku

schyłkowi i z okna mojego patrzę na cały majestat zachodu. Słońce, podobne do wielkiej hostji w bezmiernym lazurowym kielichu, zstępuje ku wierzchołkowi góry. Od równiny przez pochyłość tej góry widzę wijącą się białą ścieżynę, która ginie we mgłach, olśniewających odbiciem ostatnich promieni. Oto krąg ognisty wsparł się o krawędź góry. Zdaje się, jakgdyby ta ścieżyna, muśnięta ukośnemi promieniami, dotknąć miała słońca. Kto z nas — ująwszy sztandar, podąży radośnie przez tę otwartą do triumfu słoneczną drogę, na zdobycie Gwiazdy“?

Tym jednym z najpierwszych, który ujął sztandar — który podążył, był poeta i powieściopisarz d'Annunzio. On na podniesionym wgórze proporcu wypisał dewizę: „Pójdźmy obronić piękno przed zalewem barbarzyństwa XIX wieku“!

Po wewnętrznem zmaganiu się, po przejściu gehenny mąk, cierpień i rozterek duchowych, widnych w jego początkowej twórczości, przepalił się wreszcie na kruszec szlachetny i objawił zamiar swojego życia twórczego: „Chcę przekazać potomności Piękno życia i idealne bogactwo rasy łacińskiej“. I tego w swoich powieściach dokonał. Od niego zaczyna się nowa epoka włoskiej literatury.

Tłumacz niniejszych prozaików włoskich nosił się z zamiarem ujęcia w większy całokształt ich wyboru, jednak niepokonane trudności wydawnicze naszych cza-

sów zmusiły go do ograniczenia się na tych kilku przekładach. Jednak, umiejętnością wyboru osiągnął to, czego pragnął: dał szerszemu ogółowi czytelników a zwłaszcza polskiej młodzieży możność bliższego zapoznania się ze społecznym i narodowym duchem nieśmiertelnej krainy, o której wielki poeta angielski powiedział: *Jest to kawał nieba, który spadł na ziemię.*

Dr. Józef Gluziński.

A. MANZONI.

MATKA.

Obrazek z czasów zarazy w Medjolanie w r. 1630*).

...Zstępowała z wolna ze schodków jednego z owych mieszkań i szła w kierunku orszaku kobieta, której oblicze znamionowała nie pierwsza już, jednak jeszcze nieprzekwitła młodość; przebijała z tego oblicza, jak z pod mgły, piękność przyćmiona — lecz nie zniszczona — ogromem cierpienia i śmiertelnem znużeniem: owa piękność subtelna i majestatyczna zarazem, jaka błyszczy w krwi lombardzkiej. Krok jej był ociężały, jednak nie chwiejny; oczy nie roniły łez, ale nosiły ślady, że ich wylały całe strumienie; były w tym bólu jakiś nieopisany spokój i głębia, które dawały świadectwo duszy, pełnej świadomości i zdolnej do odczucia wszystkiego. Lecz nie sam jej widok był tem, coby wśród morza nieszczęść ją właśnie polecało ludzkiej litości i dla niej budziło do życia owo przybladłe teraz i zamarłe w ser-

*) Zob. objaśnienia na końcu książki.

cach uczucie. Oto niosła na rękę dziewczynkę, może dziewięcioletnią, nieżywą, pięknie ubraną, z włosami rozdzielonemi nad czołem, w śnieżnobiałej sukience, jakgdyby te ręce matczyne ustroiły ją na obiecaną oddawna w nagrodę uroczystość. Zmarła nie leżała, lecz siedziała jej prosto na ramieniu, piersią oparta o pierś, jakgdyby była żywa a tylko jedna bieluchna rączka, blada jak wosk, zwisała bezwładnie z jednej strony z pewną martwą ociężałością; głowinę, ujętą snem wiekuistym, opierała na ramieniu matki — matki, za czem gdyby nawet nie podobieństwo rysów obu twarzy, to jedna przynajmniej z nich, wyrażająca jeszcze uczucie, niezbitcie przemawiaćby musiała. Ohydny grabarz podszedł ku niej, by zdjąć dziecko z ramion, z wyrazem wszelako niezwykłego szacunku i z pewnem bezwiednem wahaniem; ona jednak, cofając się wstecz — lecz bez śladu oburzenia lub wzgardy — przemówiła: Nie, nie tykajcie mi jej jeszcze; ja sama muszę ją złożyć na wozie; tu, macie, człowieku... I przy tych słowach trzymaną w rękę sakiewkę wetknęła w nadstawioną dłoń grabarza, poczem mówiła dalej: Przyrzeczcie mi, że nie ruszycie na niej jednej niteczki, że nie pozwolicie drugim na to i że ją pochowacie tak, jak jest.

Grabarz przycisnął rękę do piersi, poczem śpiesznie i niemal z objawami hołdu, więcej pod wpływem nieznanego sobie uczucia, niż dla niespodzianej nagrody, zakrzętał się koło wozu, by zrobić nieco miejsca dla zmarłej. Matka, złożywszy na jej czole pocałunek, położyła ją jak na łóżeczku, poprawiła, przykryła białym

całunem i pożegnała słowy: Do widzenia Cecyljo! Odpoczywaj w pokoju... Dziś wieczorem i my tam przyjdziemy, by już na wieki razem pozostać... Tymczasem módl się za nas tak, jak ja modlić się będę za ciebie i za innych... Następnie, zwrócona znów do grabarza, rzekła: A wy, gdy będziecie przechodzili tędy wieczorem, wstąpcie zabrać mnie także... i nie mnie samą tylko...

Po tych słowach zawróciła do domu i w chwilę potem stanęła w oknie, trzymając na ręku drugie dziecko — maleństwo, żywe jeszcze, lecz już ze znamieniem śmierci w twarzyćce... Stała długo, by się przypatrywać potwornemu pogrzebowi pierwszego dziecka, stała długo, dopóki wóz nie ruszył z miejsca, dopóki nie zniknął jej z oczu. Potem odeszła od okna...

I cóż innego zrobić mogła, jak złożyć na łóżku jedyne, jakie jej jeszcze zostało i położyć się obok, by umrzeć z niem razem?... Tak, jak kwiat rozwinięty o wysokiej łądydze pada narówni z kwiatuszkiem w zarodku pod cięciem kosi, zmiatającej nielitościwie wszystko kwiecie na łące...

S. PELLICO.

MOJE WIĘZIENIA.

UWIĘZIENIE.

W piątek 13 października 1820 r. zostałem uwięziony w Medjolanie i zaprowadzony do św. Małgorzaty¹. Była godzina trzecia po południu. Przesłuchiowano mię przez resztę dnia, tudzież przez kilka dni następnych. Lecz na to się nie skarżę. Podobnie jak młodzieniec, któremu dokucza jego ubóstwiana, postanawia nie gniewać się na nią, tak samo ja zostawiam na boku politykę i mówię o czem innym.

O dziewiątej wieczorem owego nieszczęsnego piątku pisarz sądowy oddał mię strażnikowi więziennemu a ten, zaprowadziwszy mię do przeznaczonej celi, zwrócił się do mnie z grzecznem wezwaniem, bym oddał zegarek, pieniądze i wszystko, co mam przy sobie, a zapewniając, że zwrócą mi te rzeczy we właściwym czasie, wyraził mi pełne szacunku życzenie dobrej nocy.

— Niechno się pan chwilkę zatrzyma, dobry panie — odezwałem się; — nie jadłem dziś obiadu; niech mi pan każe przynieść co do zjedzenia.

— W tej chwili; gospoda jest tutaj w pobliżu i zobaczy pan, jakie dobre wino.

— Wino?... Nie pijam.

Na te słowa pan Angiolino spojrział na mnie niespokojnym wzrokiem, sądząc, że żartuję. Dozorcy więzienni, którzy utrzymują gospody, uczuwają grozę przed więźniami, którzy nie piją.

— No, nie piję, doprawdy!

— W takim razie żal mi pana; odczuwać pan będzie dwakroć więcej osamotnienie.

Widząc, że postanowienia nie zmieniłem, wyszedł i po upływie może pół godziny miałem przed sobą obiad. Zjadłem parę kąsków, wypłem szklankę wody i zostałem sam.

Cela moja znajdowała się na dole i wychodziła na podwórze. Oparłem się o okno i stałem czas pewien, przysłuchując się krokom przechadzających się więźniów, tudzież piekielnemu śpiewowi kilku zamkniętych.

Rozmyślałem: Sto lat temu był tu klasztor. Czyż te święte i pokorne dziewice, które go zamieszkiwały, mogły przypuszczać, że kiedyś ich cele rozbrzmiewać będą nie kobiecemi westchnieniami i pobożnemi hymnami, lecz przekleństwami i bezwstydnemi pieśniami, i że przebywać w nich będą ludzie wszelakiego rodzaju, skazani w najlepszym razie na dożywotni dom poprawy, jeśli nie na szubienicę? A po upływie jednego wieku— kto wzdychać będzie w tych celach? O, ten wieczny bieg czasu, ta wieczna zmiennobść rzeczy! Czy może się smucić ten, kto na was patrzy, gdy raz los przestał

mu się uśmiechać, gdy zostaje pogrzebany żywcem w więzieniu, gdy grozi mu szubienica? Wczoraj jeszcze byłem jednym z najszczęśliwszych ludzi na świecie — dziś nie mam ni jednej z owych słodyczy, które dodają bodźca do życia: ni wolności, ni towarzystwa przyjaciół, ni nadziei więcej! Nie! Oddawanie się złudnym nadziejom byłoby szaleństwem! Stąd nie wyjdę inaczej, jak tylko wtrącony w straszliwe lochy podziemne lub oddany w ręce kata. Dobrze — w dzień po mojej śmierci będzie tak, jakgdybym życie spędził w pałacu i pochowany został z największemi zaszczytami...

Takie rozmyślenia nad biegiem czasu umacniały mię na duchu. Lecz przyszli mi na myśl rodzice, dwaj bracia, dwie siostry, pewna rodzina, którą kochałem niemal tak samo, jak swoją własną — — — i wtedy rozumowania filozoficzne straciły zupełnie moc swoją. Nie mogłem dłużej wytrzymać i rozpłakałem się, jak dziecko.

MAŁY PRZYJACIEL.

Już w pierwszych zaraz dniach więzienia pozyskałem przyjaciela. Nie był to ani klucznik, ani żaden ze strażników, ani nikt z panów sędziów. Mówię zresztą o ludzkim stworzeniu. Któż to był? Chłopczyk głuchoniemy, liczący pięć lub sześć lat. Ojciec i matka byli złoczyńcami i dosięgła ich karząca ręka sprawiedliwości. Biednego sierotkę utrzymywała policja z kilkoma innymi chłopcami, znajdującymi się w tem samym położeniu. Mieszkali wszyscy w izbie, leżącej naprzeciw mojej celi i o pewnej godzinie otwierały się drzwi ich mieszkania, aby mogli wyjść na podwórze zaczerpnąć świeżego powietrza.

Głuchoniemy przychodził pod moje okno, uśmiechał się do mnie i gestykulował. Rzucałem mu wielki kawałek chleba — chłopak chwycił go wśród podskoków radości, biegł do swych towarzyszy, dawał wszystkim po kawałeczku, a potem wracał, by spożyć część swoją koło mojego okna, wyrażając mi wdzięczność uśmiechem swoich dobrych ocząt.

Inni chłopcy spoglądali na mnie zdaleka, lecz nie okazywali chęci zbliżenia się: głuchoniemy okazywał

mi ogromną sympatię i to nie wyłącznie dla interesu. Nieraz nie wiedział, co ma zrobić z chlebem, rzuconym mu przeze mnie i dawał mi znaki, że zarówno on, jak jego towarzysze najedli się dobrze i nie mogli już jeść więcej. Ilekroć widział strażnika, idącego do mej celi, dawał mu chleb, aby mi go oddał. Chociaż niczego nie oczekiwał ode mnie, nie ustawał w wykonywaniu różnych figielków pod mojem oknem, czyniąc to z jakimś takim kochanym wdziękiem i ciesząc się, że patrzę na niego! Razu pewnego strażnik pozwolił sierocie wejść do mej celi; ten, ledwie wszedł, rzucił się z okrzykiem radości do mych kolan, aby je uściskać. Wziąłem go w objęcia — i pióro moje nie zdoła wyrazić uniesienia, z jakim zasypywałem mnie pieścizotami. Co za miłość w tej drogiej, małej duszyczce! Jakżem bardzo pragnął móc wychowywać go i wyrwać z tego środowiska, gdzie nikt nie zatroskał się o rzuconego na pastwę losu!

Nigdy nie dowiedziałem się o jego imieniu. On sam nie wiedział, czy ma jakie. Był zawsze wesoły i nie widziałem go nigdy płaczącego, chyba tylko raz jeden, gdy go bił klucznik — nie wiem, z jakiego powodu.

MÓJ KLUCZNIK.

Znalazłem się sam w owej okropnej jaskini. Słyszałem, jak ją zamykają i zaryglowują, i odróżniłem przy mdłym świetelku wysoko umieszczonego okienka nagie deski pryczy, przeznaczonej na łożo, tudzież potężny łańcuch na ścianie. Pełen wzburzenia usiadłem na pryczy a chwyciwszy łańcuch, mierzyłem jego długość, myśląc nad tem, czy jest przeznaczony dla mnie.

Jakie pół godziny później doszedł mych uszu dźwięk kluczy; drzwi się otwarły — klucznik przynosił mi dzban wody.

— To do picia — mruknął — a jutro rano będzie chleb.

— Dziękuję, dobry człowiecze.

— Nie jestem wcale dobry — odparł.

— Tem gorzej dla was — rzekłem gniewnie. — A ten łańcuch — dodałem — to dla mnie może?

— Tak, dla pana, jeżeli pan nie będzie spokojny, popadnie pan w szal lub zacznie miotać na nas obelgi. Lecz jeśli pan będzie rozsądny, włożymy panu tylko jeden łańcuch na nogi. Kowal jest tu zaraz obok...

Mówiąc to, chodził po kaźni tam i zpowrotem, potrząsając owym ordynarnym pękiem potężnych kluczy, a ja, rozgniewanym wzrokiem, mierzyłem jego olbrzymią, chudą, starczą postać i pomimo, że rysy jego twarzy wcale nie trąciły popolitością, wszystko w nim wydawało mi się najnienawistniejszym uosobieniem brutalnej surowości.

O, jakże ludzie są niesprawiedliwi, sądząc z wyglądu i na podstawie swych dumnych uprzedzeń! Ten, o którym myślałem, że potrząsa wesoło kluczami, aby mi dać odczuć swą smutną władzę, ten, którego uważałem za bezwstydного skutkiem długoletniego przyzwyczajenia się do srogości — ten żywił tam, w głębi serca, współczucie, i z pewnością mówił z akcentem mrukliwości tylko w tym celu, by ukryć owe uczucia. Chciał je może utaić w tym celu, by nie okazać swej słabości i w obawie, że mogę być tego niegodnym; lecz równocześnie, myśląc sobie, że mogę być więcej nieszczęśliwym, aniżeli winowajcą, pragnął mi je okazać.

Mając dość jego obecności a jeszcze więcej jego miny, jakgdyby on tu był panem, uważałem za stosowne poniżyć go, mówiąc do niego tonem rozkazującym, jak do sługi:

— Dajcie mi wody!

Popatrzył na mnie; jego wzrok zdawał się mówić: Pyszalku! Tutaj trzeba się odzwyczaić od rozkazywania.

Lecz milczał. Pochylił swój stary grzbiet, wziął dzban z ziemi i podał mi go. Zauważyłem, że drżał,

podnosząc go, a przypisując to drżenie jego podeszłemu wiekowi, doznałem równocześnie uczucia litości i szacunku, które pomiarkowały mą pychę.

— Ileż lat macie? — zapytałem łagodnie.

— Siedemdziesiąt cztery, mój panie i widziałem już wiele nieszczęść — swoich i drugich.

Wspomnieniu owych nieszczęść swoich i drugich towarzyszyło nowe drżenie w chwili, gdy odbierał dzbanek i nabrałem przekonania, że musi to być następstwem nie samego tylko wieku, lecz także pewnego szlachetnego wzruszenia. Przekonanie to wyrugowało z mej duszy zupełnie nienawiść ową, którą wzbudził we mnie w pierwszej chwili.

— Jak się nazywacie? — zapytałem.

— Los zadzwiał sobie ze mnie, dając mi nazwisko wielkiego człowieka. Nazywam się Schiller².

Następnie w kilku słowach opowiedział mi o swym kraju rodzinnym, o swem pochodzeniu, w ilu wojnach brał udział, tudzież ile ran odniósł.

Był Szwajcarem, pochodził z chłopskiej rodziny; walczył przeciw Turkom pod generałem Laudonem za czasów Marji Teresy i Józefa II, następnie brał udział we wszystkich wojnach Austrii przeciw Francji aż do upadku Napoleona.

Gdy o jakimś człowieku, któregośmy zrazu uznali za złego, nabieramy lepszego mniemania, wtedy, badając twarz jego, głos, zachowanie itd., dochodzimy do przekonania, że odkrywamy w nim niewątpliwe znamiona szlachetności. Czy to odkrycie polega na rzeczywiście-

ści? Ja uważam je za złudzenie. Wszakże ten sam wzrok, ten sam głos, to samo zachowanie się wydawały się nam przed chwilą niechybną oznaką złego charakteru. Gdy tylko zmieni się nasz sąd o wartości moralnej, w tej chwili ulegają też zmianie nasze wnioski, wysnute ze znajomości twarzy drugiego. Na ileż twarzy spoglądamy z szacunkiem, bo wierzymy, że należą do ludzi szlachetnych, a które z pewnością nie budziłyby w nas tego szacunku, gdyby należały do innych ludzi! I tak samo odwrotnie!... Śmiałem się raz z pewnej pani, która widząc popiersie Katyliny³ i biorąc je za popiersie Kollatina⁴, oddawała się złudzie, że widzi przed sobą wzniosły ból Kollatyna z powodu śmierci Lukrecji! Tego rodzaju złudzenia są powszechnie.

Nie przeczę, że istnieją twarze ludzi dobrych, które noszą wybitne piętno dobroci charakteru swych właścicieli — a z drugiej strony istnieją twarze łotrów, które mają w sobie niewątpliwe piętno owego łotrostwa; lecz podtrzymuję swe twierdzenie, że wiele twarzy budzi wątpliwość co do swego wyrazu.

Ostatecznie, pan Schiller zyskał pewne względy w mych oczach: patrzałem na niego uważniej, niż z początku i już nie budził we mnie odrazy. Prawdę powiedziawszy, z jego mowy, przybranej w szaty pewnej surowości, przebijały także rysy duszy szlachetnej.

— Mnie, kapralowi — mówił dalej — przypadł na starość smutny obowiązek klucznika i Bóg mi świadkiem, czy ta rzecz nie kosztuje mnie więcej, niż narażanie niegdyś życia w bitwach.

W tej chwili żałowałem mocno, iż przed chwilą żądałem od niego z taką pyszałkowatością podania mi wody.

— Mój drogi panie Schiller — odezwałem się do niego, głaszcząc jego rękę — daremnie pan zaprzeczasz. Widzę, żeś pan dobry i gdy już spotkało mnie takie nieszczęście, dziękuję Bogu, że dał mi pana za klucznika.

Słuchał tego, co mówię, potrząsnął głową, poczem, trąc swe czoło jak człowiek, któremu jakaś myśl przykra dokucza, odpowiedział:

— Jestem złym człowiekiem, panie. Zmusili mnie do złożenia przysięgi, której nigdy nie złamię. Jestem zobowiązany obchodzić się ze wszystkimi więźniami, nie zważając na ich stan, bezwzględnie, bez robienia im jakichkolwiek ustępstw — a zwłaszcza z więźniami stanu...

— Jesteś pan zacnym człowiekiem i zapewniam pana, że będę szanował to wszystko, co uważasz pan za obowiązek swego sumienia. Kto postępuje ściśle według niego, może zbłądzi, ale jest czysty wobec Boga.

— Biedny panie, miej cierpliwość i zechciej mię zrozumieć. Będę nieubłagany w spełnianiu swych obowiązków, lecz serce... serce moje pełne jest żalu, że nie mogę w niczem ulżyć doli nieszczęśliwym. O tem właśnie chciałem panu powiedzieć...

Obaj byliśmy wzruszeni. Błagał mię, bym zachowywał się spokojnie, nie popadał w szał, jak to czynią często więźniowie, gdyż byłby zmuszony obchodzić się ze mną surowo.

Przybrał następnie ton szorstki, jakby chcąc ukryć przede mną część swojej litości i rzekł:

— Teraz muszę już iść.

Poczem zawrócił, pytając mię, od kiedy tak strasznie kaszlę, jak kaszlałem, i wybuchnął grubem przekleństwem na lekarza, że nie przybył tego samego wieczora, aby mnie zbadać.

— Pan ma okropną gorączkę — dodał — rozumiem się na tem. Trzebaby przynajmniej jakiego sieniaka, lecz ponieważ lekarz tego nie polecił, nie możemy go dać panu...

* * *

Wyszedł, zamknął drzwi a ja wyciągnąłem się na twardych deskach, gorączkując wśród srogiego bólu piersi, lecz mniej już wzburzony i mniej wrogo usposobiony względem ludzi...

AMPUTACJA NOGI MARONCELLEMU.

...W tym opłakanym stanie jeszcze układał wiersze, śpiewał, rozprawiał; wszystko to czynił, by mię łudzić i ukryć przede mną część swoich cierpień. Nie mógł więcej trawić, ani spać; chudł okropnie; popadał często w omdlenie — a przecież po paru minutach odzyskiwał swe siły żywotne i dodawał mi odwagi.

Niepodobna opisać, co ten człowiek wycierpiał przez dziesięć długich miesięcy. Nareszcie pozwolono na odbycie konsyljum. Przybył naczelny lekarz, uznał za dobre to wszystko, czego próbował lekarz więzienny, i nie wypowiadając swego zdania co do choroby i co należy jeszcze czynić, odszedł.

W chwilę potem przybył zarządca więzienia i rzekł do Maroncellego:

— Naczelny lekarz nie miał odwagi wypowiedzieć się w pańskiej obecności i obawiał się, że nie będzie pan miał dość sił, by usłyszeć twardą konieczność. Zapewniłem go, że panu nie brak odwagi.

— Myślę — powiedział Maroncelli — że dałem chyba niejeden tego dowód, znosząc spokojnie te cierpienia. Więc lekarz proponuje?...

— Tak, panie, amputację! Tylko że naczelny lekarz, widząc pański organizm tak wycieńczony, boi się panu to doradzać. Czy pan w takim osłabieniu czuje się na siłach do zniesienia amputacji? Czy chce pan narażać się na niebezpieczeństwo...

— Śmierci? A czyż nie umrę wkrótce tak samo, jeżeli nie położę końca temu złu?

— Zrobimy zatem zaraz sprawozdanie o wszystkim do Wiednia i skoro tylko pozwolenie nadejdzie...

— Jakto? Na to trzeba pozwolenia?...

— O tak, panie!

W ośm dni potem przyszło oczekiwane pozwolenie.

Chorego zaniesiono do wielkiej izby; prosił, bym mu towarzyszył.

— Mogę wyzionąć ducha pod nożem — powiedział — niechże się choć znajdę w ramionach przyjaciela.

Pozwolono mi towarzyszyć nieszczęśliwemu.

Kapelan Wrba, nasz spowiednik, przybył z św. sakramentami do niego. Po spełnieniu tego obrzędu religijnego oczekiwaliśmy chirurgów, którzy wszelako nie pokazywali się jakoś. Maroncelli wziął się do śpiewania jakiejś pieśni.

Chirurgowie przybyli nareszcie; było ich dwu. Jeden, nasz lekarz więzienny, tj. nasz balwierz — i on to, gdy trzeba było robić operację, posiadał prawo robienia ich sam i nie chciał drugim ustąpić tego zaszczytu. Drugi był młodym chirurgiem, wychowankiem szkoły wiedeńskiej, ale już cieszył się sławą wielce zdolnego lekarza. Wysłany przez gubernatora, by być

obecnym przy operacji i kierować nią, byłby z pewnością chciał wykonać ją sam, lecz musiał zadowolić się czuwaniem nad jej przebiegiem.

Chorego posadzono na brzegu łóżka z nogami spuszczone; ja trzymałem go w ramionach. Powyżej kolana, gdzie udo zaczynało być zdrowem, znajdowała się naciągnięta silnie opaska: znak koła, które miał przebiec nóż. Stary chirurg przeciął wszystko dokoła na głębokość palca, poczem podciągnął do góry przeciętą skórę i krajał dalej na odsłoniętych mięśniach. Krew lała się strumieniami z tętnic, lecz związano je natychmiast jedwabnymi nićmi. Naostatek przecięto kość.

Maroncelli nie wydał jęku. Widząc, jak podnoszono odciętą nogę, popatrzał na nią współczującym okiem a następnie zwracając się do chirurga, rzekł:

— Uwolnił mię pan od wroga — a ja nie mam nawet sposobu odwdzięczenia się panu.

W szklance na oknie znajdowała się róża.

— Proszę cię, podaj mi tę różę.

Podąłem mu kwiat. Ofiarował go staremu chirurgowi ze słowami:

— Nie mam nic innego, aby okazać panu swą wdzięczność.

Chirurg wziął różę i zapłakał.

R. LAMBRUSCHINI.

PRZYGODA GALILEUSZA.

Galileusz Galilei⁵, straciwszy wzrok w willi d'Arctetri, którą po tylu prześladowaniach wyznaczono mu jako miejsce wygnania, pewnego poranku, latem, dnia 22 czerwca, w rocznicę swego skazania w Rzymie, przypominając sobie swe gorzkie przejścia, doznawał pod wpływem głębokiej melancholji niezwykłego przygnębienia i chciał pozostać sam w swej izdebce. Umysł starca, skupiony zupełnie sam w sobie, przeniósł go w minione czasy i stworzył na nowo rany, które już tymczasem zablizniła łagodnie wielkoduszna wyrozumiałość na ludzkie słabości. Ból tak długo tłumiony i nadmiar przykrych wspomnień wstrząsnęły gwałtownie jego nerwami i zdawało mu się, że to ten sam dzień, ów dzień nieszczęsny wymuszonego gwałtem odcięcia od świata. Myśl ta gnębiła go śmiertelnie, lecz światło rozumu pośpieszyło przykrócić wodze nadmiernemu władztwu wyobraźni: przygnębienie zwolna poczęło znikać. Aby się jeszcze więcej otrząsnąć z dręczących myśli, próbował chodzić tam i zpowrotem po swej

izdebce, poczem, zapomniawszy już zupełnie o swej ślepcie, wyszedł na dwór, dokąd ciągnęła go potrzeba odetchnięcia swobodniejszym powietrzem.

Wtedy weselsze już myśli, wspomnienie spokoju i ruch, połączony z uczuciem wolności, zachęciły go do dalszej drogi. Spodziewał się większej ulgi i doznawał jej istotnie, a w miarę, jak dalej się posuwał, tem więcej godził się z samym sobą, z ludźmi i wrogami. Wreszcie uśmiechał się już na myśl o minionej burzy, czynił sobie gorzkie wyrzuty z powodu słabości, której nigdy przedtem nie dał się opanować, odczuł potrzebę znalezienia się między przyjaciółmi, lecz — spostrzegł także w tej chwili, że zbyt się od nich oddalił, że popełnił rzecz nieroztropną, która mogła łatwo źle się skończyć dla niego. Znał wprawdzie dobrze ścieżyny swej ukochanej góry, lecz od czasu ociemnienia nigdy sam po nich nie chodził. — Gdzież znajduje się w tej chwili? Dokąd ma iść? Dokoła niego panowała zupełna cisza. Zatrwożył się nieco; stanął. Z akcentem niecierpliwości podniósł ręce ku oczom i przetarł je sobie mówiąc: Te oczy, które pokazały mi nowe niebo, nie chcą mi teraz pokazać ani piędzi ziemi... Cierpliwości! I pozostał na miejscu, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, jakby oczekując czyjej pomocy.

Po kilku minutach zdawało mu się, że słyszy w oddali, od czasu do czasu, w miarę jak wietrzyk niósł odgłosy w jego stronę, uderzenia okutego kostura o kamienisty grunt. A więc ludzie!... Zwolna uderzenia stawały się coraz wyraźniejszymi; doszło jego uszu ciche

stąpienie; czeka; zbliża się jakaś osoba, lecz z jej zachowania się widać, że go nie dostrzegła. Wtedy nabrawszy odwagi, woła:

— Bracie!

— Kto tutaj? — odpowiada nieznajomy. — Na miłość boską, a to mię pan niechcący przestraszył, zawoławszy na mnie tak niespodzianie... Czy nie zrobiłby mi pan jednej łaski?

— Ach, to ty powinienes mi ją teraz wyświadczyć — odparł Galileusz.

— O, toś ty, panie, źle trafił... Właśnie szedłem, mówiąc do siebie, że dzisiaj nie znalazł jeszcze chrześcijanina, któryby mnie wspomógł!... Lecz... zaczekaj-no trochę... pójdz-że tu... ostatecznie wszyscyśmy braćmi i to więcej braćmi między sobą ubogimi, niż między panami. Widzisz? Tu mam chleb biały; dostałem go dziś rano w Klejnocie (przydomek willi Galileusza), gdyż tam znajduje się klejnot prawdziwy! Trzymaj... Gdzież jesteś? Dziś ja, jutro ty!...

Galileusz nie mógł się pomiarkować i pozwolił mówić przybyłemu, a tymczasem tamten, robiąc znaki krzyża w powietrzu, zbliżał się ku niemu, trzymając chleb w wyciągniętej ręce.

— Ależ ja — rzekł Galileusz — nie chcę chleba, dobry człowieku; jestem ślepcem, który zabłądził — czyż nie widzisz? — a łaska, o którą cię prosiłem, jest ta, byś mię zaprowadził do domu.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął drugi — więc zeszło się dwóch ślepych na drodze! Bo, żeby rzec

panu prawdę, nie widziałem słońca od chwili mego urodzenia.

Galileusz westchnął.

— Niech więc pan wybaczy — ciągnął dalej żebrak — że brałem go za jednego z naszych. Z temi siedmioma opaskami na oczach popełniam często głupstwa... Lecz chodźmy; znam to miejsce doskonale; a w tej porze (była godzina obiadowa) niewielu ludzi a może nawet nikt nie znajduje się poza domem... My, biedaki, nie wiemy nigdy, ani kiedy, ani gdzie podadzą nam miskę zupy i dlatego musimy tak często cienko śpiewać wieczorem.

— Więc chciałbyś mi pomóc? Znasz stąd drogę do Klejnotu?

— I jak jeszcze! Chce pan, bym go tam zaprowadził?

— Właśnie.

— No, to chodźmy... Gdzież pańska ręka?

— Proszę.

I szukając jej chwilkę wzajemnie, wzięli się pod ramię.

— Teraz musimy iść w tę stronę — zaczął żebrak. — O, pan musi być także już starym! Co za wychudła ręka! Ile masz lat, bracie?

— Siedmdziesiąt z górą.

— A ja starszy od ciebie o jakie lat dwanaście... Ale tak ja miarkuję, że twoje odzienie nie jest odzieniem biedaka! O, wybacz panie, nie chciałbym, by moje łachmany...

— Lecz czemuż nie mówisz więcej do mnie: bracie?

— Bo pan...

— Jestem takim samym nędzarzem, jak ty... może jeszcze większym od ciebie... Bo widzisz... z tym całym swoim ubiorem, gdyby nie ty, biedny ślepiec, byłbym został, Bóg wie, jak długo...

W ten sposób po długiej gadaninie żebraka obaj ciemni szli kawałek drogi w milczeniu, które przerwał wreszcie dzwon z góry św. Krzyża. Na ten głos żebrak poznawszy, że są blisko Klejnotu, zapytał towarzysza:

— Więc do Klejnotu? Naprawdę tam? Zna pan zapewne także tego dobrego człowieka, pana Galileusza?

— Tak, znam go; a ty także?

— Jeszcze jak! To jest... znam go; widzi pan, mówię tak dlatego, ponieważ od jego drzwi nie odszedłem jeszcze nigdy niezaopatrzony. A zresztą, któż go nie zna? Wszyscy mówią, że to wielki człowiek; a ja i moi towarzysze niedoli mówimy, że to pan litościwy, jakich mało i dlatego tak go kochamy. Nie znam takiego drugiego...

Tymczasem pewien młodzianek, przywiązany niezmiernie do Galileusza a któremu ten zwykle dyktował swe prace, nie mogąc sam pisać, wszedł o zwykłej godzinie do izby mistrza i zastał drzwi otwarte a wewnątrz puste; zaglądnął tu i tam — mistrza nie było. Pobiegł tedy z płaczem, by zawiadomić domowników o swem odkryciu i w tej chwili wszyscy, ogromnie

zaniepokojeni, rozbiegli się celem szukania starca. Ci, którzy wybiegli na gościniec, podnieśli okrzyk radości na widok nadchodzącego zdaleka; młodzienaszek rzucił mu się na szyję; wszyscy śpieszyli naprzeciw, nazywając go po imieniu, nie bez zadziwienia patrząc, jakim to przewodnikiem musi się posługiwać, by wrócić do domu. Wtedy ślepy żebrak zaczął domyślać się prawdy a zanim zdumienie jego przeszło, Galileusz wzięwszy go w ramiona, rzekł do przyjaciół:

— Widzicie w tym biedaku brata Galileusza; uściśnij, tak, uściśnij mię także, boś mi jest bratem miłości a ja twoim bratem miłości i wdzięczności. Uratowałeś mię z wielkiego niebezpieczeństwa. Czyż nie wiedziałeś, że niedawno także Galileusz nawiedzony został ślepotą? Czyż nie miałem słuszności mówiąc ci, że o wiele nieszczęśliwszy od ciebie? Lecz moje nieszczęścia maleją, gdy mogę ulżyć w nieszczęściu drugim. Chodź, dom mój będzie odtąd twoim domem, abyś się przekonał, że także panowie, gdy chcą, mogą być braćmi biedaków.

Ślepiec nie zdołał jednego słowa wymówić, tak był wzruszony — a tylko posuwał się ku Galileuszowi, szukając rąk jego, by je okryć pocałunkami i zrosić łzami.

L. SETTEMBRINI.

DO SWEJ ŻONY.

1 lutego 1851 r., o godzinie 8 rano.

Chcę, ukochana i nieszczęśliwa Towarzyszko życia mojego, chcę pisać do Ciebie w chwili, gdy sędziowie od szesnastu godzin odbywają narady nad moim losem...

Jeżeli skazany będę na śmierć, nie będę mógł więcej zobaczyć ani Ciebie, ani krwi mojej najserdeczniejszej — najdroższych dzieci moich. Teraz, spokojny i przygotowany na wszystko, mogę z Tobą chwil parę porozmawiać. O Ludwiniu moja! Jestem i spokojny i przygotowany na wszystko i — co we mnie samym największy podziw budzi — czuję moc do zapanowania nad tem sercem, co od czasu do czasu chciałoby pęknąć tam w piersiach. Biada mi samemu, gdyby to serce odniosło zwycięstwo nade mną!...

Jeżeli skazany zostanę na śmierć, mogę Ci przyrzec w imię naszej i dzieci naszych miłości, że Ludwik twój nie zapomni o sobie samym. Umrę w przeświadczeniu, że krew moja będzie posiewem dobroczynnym dla mego kraju; umrę ze spokojną odwagą męczenników; umrę — a ostatnie słowa moje przed skonaniem

będą poświęcone Ojczyźnie, Ludwini mojej, mojemu Rafałowi i mojej Julji... Dla Ciebie i najdroższych dzieci moich nie będzie to hańbą, zem zginął na szubienicy; przyjdzie dzień, w którym rzecz ta zaszczyt Wam przyniesie. Ból będzie Cię łamał, wiem o tem; lecz Ty rozkaż sercu swemu, Ludwiniu moja, zachowaj swe życie dla drogich dzieci naszych, którym powiesz, że dusza moja zawsze będzie z Wami trojgiem, — że ja Was widzę, że ja Was czuję, — że ja nie przestanę Was kochać tak samo, jak kochałem Was przedtem i jak Was Kocham w tej strasznej godzinie...

Zostawiam dzieciom przykład życia własnego tudzież imię, które przez całe życie starałem się zachować niesplamione i szanowane. Powiesz im, że mają pamiętać owe słowa, które wyrzekłem tam, w sądzie, w dniu mojej obrony. Powiesz im, że ja, błogosławiąc je i całując tysiączne razy, zostawiam im trzy przykazania: pamiętać i czcić Boga; kochać pracę; kochać nadewszystko Ojczyznę. Moja Ludwiniu ubóstwiała! Byłyż to te radości, którem Ci obiecywałem w pierwszych dniach naszej miłości, kiedy to, oboje młodzi, Ty mając lat piętnaście, piękna jak bóstwo a niewinna jak lilja, ja w wieku lat dwudziestu, z sercem pełnym uczuć i nadziei, z duszą rwącą się do piękna, którego boskie wcielenie w Tobie widziałem — — — obiecywaliśmy sobie jedno życie miłości, kiedy to świat wydawał się nam tak pięknym i pełnym słodczy uśmiechu, kiedyśmy gardzili biedą, kiedy życiem naszym była miłość nasza?... I cóżeśmy takiego uczynili, że w nagrodę dostają się

nam takie cierpienia i to tak rychło?... Lecz wszelkie skargi byłyby bluźnierstwem przeciw Bogu, gdyż w ten sposób doszlibyśmy do zaprzeczenia cnoty, dla której umrzeć mi przychodzi. Ach, Ludwiniu, wiedza nie jest niczem więcej, jak cierpieniem; prawdziwa cnota przynosi li tylko gorycze... A jednak jakże piękne są te cierpienia, jak słodkie owe gorycze! Wrogowie moi nie odczuwają piękności i godności owych cierpień. Oni w moim wypadku drzeliby; ja jestem spokojny, bo wierzę w Boga i cnotę. Ja nie drzę; niechaj drży ten, który mię potępia, albowiem Boga obraża...

Lecz czy będę skazany na śmierć? Ja spodziewam się zawsze najgorszych rzeczy po ludziach. Wiem, że państwo chce dać odstraszący przykład; że moje imię jest moją zbrodnią; że ten, kto teraz ma rozstrzygać o mym losie, waha się między tysiącem myśli i tysiącem obaw; wiem, że jestem przygotowany na wszystko. Czy będę żywcem pogrzebany na galerze, ponosząc karę stokroć gorszą, stokroć okrutniejszą od śmierci?... Ludwiniu, ja zawsze pozostanę sobą! Bóg patrzy w mą duszę i wie, że nie mocą własną, lecz użyconą mi przez Niego jestem spokojny. Patrz, piszę Ci bez łez, ręką pewną i śmiałą, a umysłem pogodnym: serce mi nie bije. O Panie mój, dzięki Ci za to, coś sprawił we mnie; także w tych chwilach czuję Cię, uznaję, czczę i pełen wdzięczności dziękuję. Panie mój, pociesz nieutuloną w swym żalu żonę moją i użycz jej sił do zniesienia tego bólu; Panie mój, miej pieczę nad dziećmi mojemi, prowadź je ku dobremu, przygarnij do siebie,

bo one nie mają ojca prócz w Tobie, one Twoje dzieci! Ustrzeż je Panie od grzechu, bo one żadnej pomocy od ludzi nie mają; Tobie je polecam, do Ciebie za nie się modlę. Tobie, Boże, poruczam swą ukochaną Ojczyznę; daj rozum tym, co nią rządzą, spraw, by krew moja uśmierzyła wszelkie gniewy, złagodziła wszelkie nienawiści; niech ona będzie ostatnią, która została rozlana na tej ziemi nieszczęsnej...

O Ludwiniu moja, nie mogę więcej pisać, bo trwoga mię ogarnia, iż serce górę weźmie nade mną. Nie wiem, czy Cię jeszcze ujrzę. Bądź zdrowa, Droga moja, Ukochana, Ubóstwiana Towarzystwo moich nieszczęść i mojego żywota. Nie mogę znaleźć więcej słów pociechy dla Ciebie — ręka drżeć mi poczyna. Zasyłam Ci pocałunek — podobny pierwszemu, jaki złożyłem na twych ustach. Z tego daj jeden memu Rafałowi, drugi mej Julji — pobłogosław je w moim imieniu. Każdego ranka, każdego wieczora, gdy je będziesz błogosławiła, powiesz im, że ja także im błogosławię. — Bywaj zdrowa!

Twój mąż

Ludwik Settembrini.

P. THOUAR.

TYCJAN VECELLIO.

Kardynał Bembo, uczony i wykwintny opiekun literatury włoskiej, udał się do Wenecji celem zaproszenia w imieniu papieża sławnego malarza Tycjana⁶ do Rzymu, gdzie już Michał Anioł i Rafael doszli do szczytu swej sławy.

— Przyjmijcież gościńę, ofiarowaną wam przez Leona X⁷ — mówił kardynał — gdyż będzie godna i jego i was. Będziecie przebywali w wieczystym mieście, kolebce genjuszu, siedzibie całego szeregu ludzi przesławnych, tak starożytnych jak dzisiejszych. Nasz Buonarroti⁸, nasz Santi⁹ przyjmą was po bratersku. Czyż odrzucicie podobne zaproszenie? Tymczasem, zostając tutaj — macie nieustannie miecz nad głową; zaraza spadła na wasze miasto i zmiata codziennie tysiące ofiar.

— Niestety, eminencjo! Czyż toby miało być wystarczającym powodem do opuszczenia Wenecji? Jeżeli moi ziomkowie są nieszczęśliwi, to ja ich kocham jeszcze więcej, niż przedtem; nie mogę rozłączyć się

w chwili nieszczęścia z tymi, którzy czcili i szanowali mnie w czasach powodzenia.

W tej chwili wszedł jakiś chłopak, który domagał się natarczywie, by go wpuszczono, i kłaniając się z wielkim szacunkiem, rzekł z wyrazem głębokiego smutku do Tycjana:

— Panie, jestem sługą pana Giorgia¹⁰ i przybywam z jego polecenia...

— Ciebie posyła szlachetny Giorgio?... I czemuż płaczesz? Stało się jakie nieszczęście twemu panu?...

— O, pan mój jest konający i błaga was, byście przyszli.

— Gondolę w tej chwili! — krzyknął Tycjan.

— Jedno słóweczko — ozwał się śpiesznie kardynał. — Czyż nie boicie się, że Giorgio może być dotkniętym zarazą?

— Nie boję się niczego! — zawołał zapalczywie wielki malarz. — Giorgio życzył mi dobrze, popierał mię i podtrzymywał w czasach pierwszych prób moich... Nie wolno mi go opuszczać, gdy sobie mnie przypomina... gdy mię wzywa...

* * *

W krótkim czasie ruchliwe wiosła gondoli zawiozły Tycjana i służbę przed wspaniałą pałac, w którym przepych i hojność Giorgia jaśniały przez czas tak długi. Ileż to razy pochodnie tancerzy oświetlały tę fasadę, która wyglądała teraz tak ciemno i melancholijnie! Ileż

to razy harmonijne dźwięki lutni i najpiękniejsze śpiewy słyszano w tych ścianach, teraz pograżonych w grobowem milczeniu!

Wprowadzono Tycjana natychmiast do jednej z komnat, gdzie na łożu wyciągnięty leżał człowiek, który — jak się zdawało — powinien był zawsze pozostać młodym i pięknym, a tymczasem był już podcięty przez straszliwe napady choroby i walczył obecnie ze śmiercią.

Czyż to miał być Giorgio, najodważniejszy i najwykwintniejszy z pośród szlachty i artystów Wenecji? Któżby go dziś poznał?

Tycjan pochylił swą twarz ku niemu i pozostał tak, pograżony w głębokiem zamyśleniu.

Zdawało się, że chorego ożywiły te odwiedziny, tak upragnione; na jego twarzy błysnął uśmiech, jeżeli tak nazwać można było lekkie ściągnięcie dwu warg bezkrwistych. I czyniąc ostatnie wysiłki, wydał z trudnością te słowa z siebie:

— Zaraza... Czuję, że umieram... Dziękuję ci, mój przyjacielu, żeś nie bał się przybyć do mnie. Sądzę, że zapomniałeś o pewnej krzywdzie, którą ci niegdyś wyrządziłem?

— Tak, jak tu stoję przed tobą...

— Posłuchaj mnie więc. Mogłoby braknąć czasu. Zostawiam rozpoczęte prace... Nikt ich tak nie potrafi skończyć, jak ty. Poruczam troskę o nie tobie, Tycjanie. Składam w twe ręce rzecz najdroższą, jaką posiadałem — sławę malarza.

— Bądź pewien! — zawołał Tycjan — że dołożę wszystkich sił, by ją podtrzymać godnie.

— Dziękuję ci. Nie omyliłem się, ufając twemu dobremu sercu.

* * *

Tycjan dotrzymał świącie swego przyrzeczenia, jak można się było spodziewać po takim człowieku. Upłynęło lat wiele a on zbierał ciągle triumfy swemi arcydziełami. Franciszek I¹¹ pragnął posiadać swój portret jego pendzla; w roku 1530, w czasie pobytu Karola V w Bolonji, nie chciał być tenże gorszym od swego współzawodnika, króla Francji, i Tycjan został zaproszony przez potężnego cesarza, który już trzy razy prosił go o swój portret; a nie poprzestając na hojnym wynagrodzeniu, nadał mu krzyż kawalerski i dyplom na palatyna. Publiczność zdumiewała się na widok drugiego Cezara, który przechadzając się z Tycjanem, trzymał z szacunkiem pod rękę sławnego mistrza a gdy mu dworzanie odważali się robić z tego powodu jakie wymówki, zadowalał się odpowiedzią:

— Mogę porobić hrabiami, ilu mi się podoba; ale gdzie znaleźć drugiego Tycjana?

Sławny przodownik szkoły weneckiej wyjechał później w r. 1545 do Rzymu, spełniając w ten sposób przyrzeczenie, dane kardynałowi Bembo; lecz Rafael już nie żył; śmierć porwała w kwiecie wieku ten nadzwyczajny talent, który jednoczył w sobie wszystkie doskonałości sztuki; żył jednak jeszcze Michał Anioł i ci dwaj

wielcy ludzie, którzy zajmowali miejsce pierwszorzędne wśród mistrzów pendzla, mogli poznać się i zmierzyć.

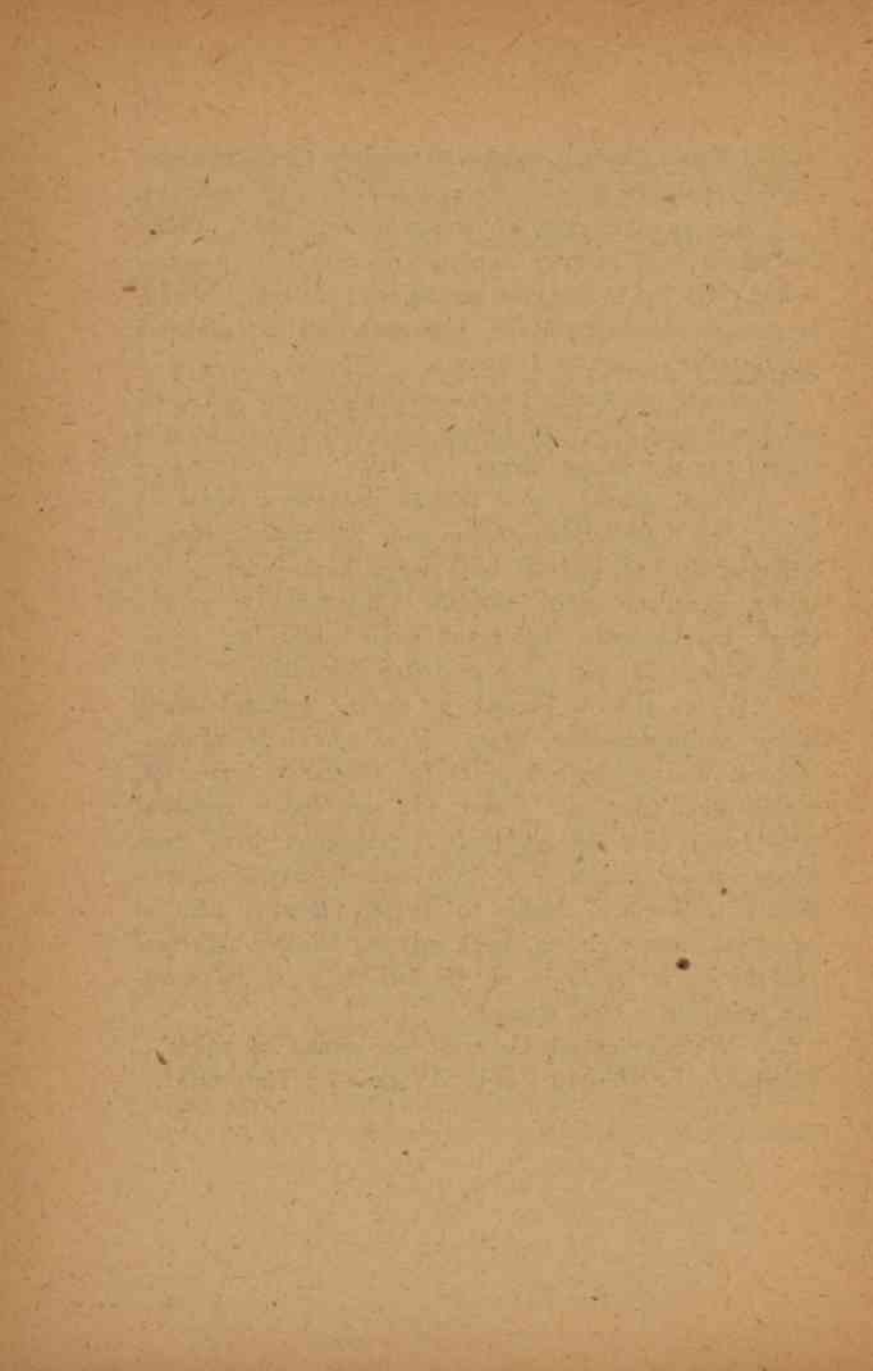
Tycjan zatrzymał się w Rzymie rok tylko. Pobyt ten nie wywarł żadnego wpływu na sposób jego malowania. Nie był to już czas na zmiany; nie nabył wzniosłego rysu szkoły rzymskiej, lecz zachował swe podziwu godne mistrzostwo w kolorystyce.

Dożył poważnego wieku siedmdziesięciu lat i widział od czasu do czasu śmierć tych wszystkich, którym dawał część swego serca.

Wtedy usunął się w zacisze domowe i oddał się pracy, jak nigdy. Malowidłem zaś, zapomocą którego najlepiej wyraził głęboki ból swego osamotnienia, był obraz, przedstawiający złożenie Chrystusa do grobu, dzieło tak wzniosłe, tak żywe, takie pełne łez, że na jego widok nikt nie może pozostać nieczułym.

W ten sposób przesławny starzec kończył życie, pełne niezmordowanej pracy, życie naprawdę zdumiewające. Wszyscy jego współcześni, większość przyjaciół, zeszli przed nim do grobu. On sam jeden zostawał przy życiu niby dąb potężny, zapomniany przez czas, kiedy znowu zaraza w r. 1576 zaczęła czynić spustoszenia w Wenecji. Mimo to Tycjan dzierżył pendzel ręką, jak zawsze pewną. Lecz gdy mu właśnie brakował rok do stu lat życia — ur. się 1477 r. — wydał ostatnie tchnienie z temi słowy:

— Umieram, jak Giorgio, lecz sztuka nie zginie...
Zostawiam w Wenecji Pawła Veronese¹² i Tintoretta!...



J. FRANCO.

SPRZEDAŻ SŁONIA.

Wśród hałaśliwego zgiewku jarmarcznego jakiś okpiświat dał potężnie w trąbę i zapraszał ludek do oglądania rzadkich zwierząt, które — oczywiście — tylko dla przyjemności drugich sprowadzał z najdalszych stron świata. Lecz cóż — kmiołek dobrze liczy swoje soldy¹³, zanim je wyda; więc też pod wieczór nasz dobroczyńca stwierdził „chudą farę“ w swej kieszeni. Co tu robić? Trąbi co sił na swej trąbie, wali piekielnie w bęben, skacze po dachu nad bramą menażerji i ogłasza nową loterję, o jakiej dotychczas nie slyszano. — Wylosowane zostanie największe zwierzę, największe dziwo na świecie, najodważniejsze, najcenniejsze, najcudowniejsze. Jednego solda słoń, jednego solda bilet wstępu, król zwierząt za jednego solda! — Bilety „idą“ wspaniale: ten bierze ich trzy, tamten dziesięć; pieniążki sypały się, jak z rogu obfitości. Nareszcie losowanie: wybrańcem losu Mateusz. Wszyscy mu składają życzenia, jako najszcześniejszemu, najbardziej za-

zdrości godnemu właścicielowi słońia. — Ale słoń — powiada szarlatan — wymaga wielkiego starunku; w przeciwnym razie ginie już trzeciego dnia a wtedy skóra jego psu na buty się nie przyda. Co prawda, koszt to niewielki: pół wozu siana dziennie mu wystarczy; napoicie go u źródła, to już nie wymaga więcej a tylko wieczorem musicie mu dać baryłeczkę dobrego wina. Osobliwie kładę wam na sercu stajnię dla niego: stajnia musi być umyślnie w tym celu zbudowaną, przestronną, wyłącznie dla niego przeznaczoną, bo jeżeli słoń spędzi jedną noc z innymi zwierzętami, no — to bądź zdrów!... Pożre owce, osły, konie i woły z kopytami i rogami. — Proszę, proszę was, ojcze, bierzcie go sobie, los się wam dzisiaj uśmiechnął, prowadźcie go do domu!

Nasz Mateusz oglądał uważnie potworną głowę, uszy wielkie jak płachty, ową trąbę osadzoną między dwoma oczkami, które zupełnie a zupełnie nie zdradzały przyjacielskich zamiarów. — To tu trzebaby jakiej uździe-nicy — mrucał do siebie. — Oglądnął po raz wtóry i trzeci wygrane zwierzę, szukał sposobu, jak dać mu do zrozumienia, by szło z nim razem, kiwał nań ręką, zapraszając ku sobie. Wszelako majestatyczny gruboskórzec obracał tylko od czasu do czasu swoje kły długości półtorametrowej, to znów grzbiet wysoki na pięć metrów — i nie okazywał całkiem, jakoby poznawał nowego pana. — Czekajcież — powiada wydrwigrosz — ja przemówię do niego a zobaczycie, że was posłucha. — Daje znak a słoń w tej chwili wydobywa z siebie taki

ryk, że wszystko, co żyło, znika błyskawicznie z placu. — A żeby cię! — klnie pod nosem Mateusz, przykucnąwszy w bramie ze strachu — toś ty taki? No, to tu niema co wierzyć takiemu gadowi. I jeszcze furkę siana co dwa dni, beczkę wina co wieczór i żeby mi ta jeszcze pożarł — plugawiec — tę parę byczków, com je sobie kupił tamtego roku! No, chyba bym już rozumu nie miał!... Słuchaj pan — a co byście mi też dali, jakbym go wam chciał odsprzedać?

— Nie kupuję nigdy dwa razy tego samego zwierzęcia — odpowiada szarlatan.

— A gdybym go wam oddał za to, com wam zapłacił?

— Byłoby to zniewagą dla króla stworzenia. Za żadne skarby.

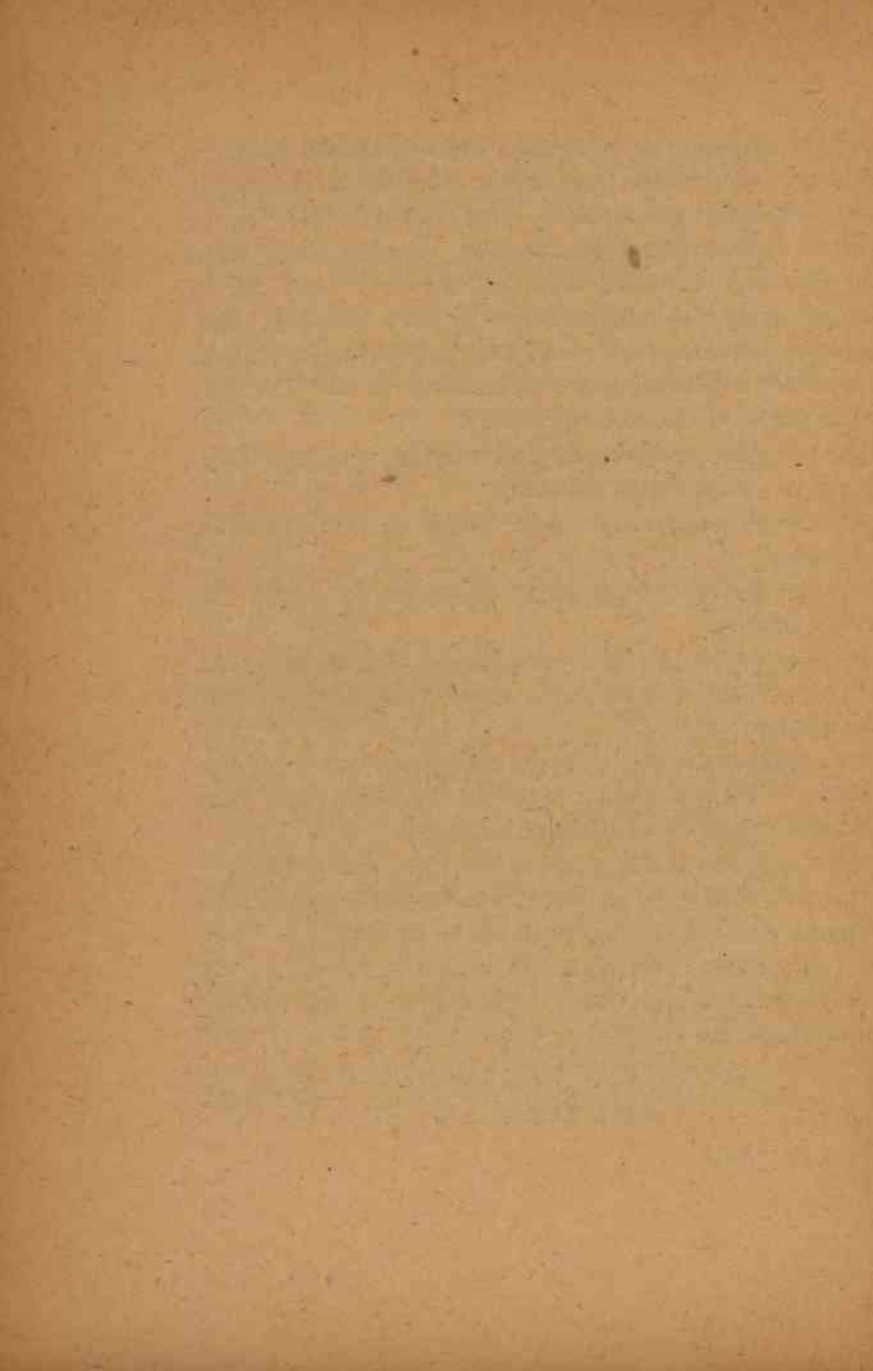
— E, już go ta weźcie darmo. Daruję go wam.

— Mam, Bogu dzięki, dosyć i nie biorę darmo od nikogo.

— Kiedy tak — powiada zakłopotany jak nigdy Mateusz — zostawiam wam tego pana słonia i dajże Boże szczęście temu, kto go sobie zabierze.

— O, nie, mój gospodarzu — powiada oszust — słoń jest wasz i ja go wam zaraz zaprowadzę do chałupy, a do was już będzie należało trzymać go.

Nie było rady. Mateusz zapłacił szarlatanowi, aby rządził odebrać swój towar. — Niezawsze dobrze — wygrać słonia na loterii.



T. GRADI.

NOWY CMENTARZ.

W dzieciństwie żyłem w ubogiej wiosce Chianti, pod opieką pewnego starego plebana; a tak małe było znaczenie tego przysiółka, jakby zapomnianego przez geografję, że wbrew przepisom zdrowotnym Toskanji nie posiadał on cmentarza, lecz chowano zmarłych od niepamiętnych czasów pod posadzką kościoła. Razu pewnego arcyksięciu Leopoldowi II przyszła ochota zwiedzić różne dzielnice swojego państwa: nie zapomniano także o Chianti. Zaledwie się ta wieść rozeszła po kraju, taki podziw i oczekiwanie ogarnęły wszystkich, że już na miesiąc przed przybyciem panującego o niczem nie mówiono po wszystkich chatach i nielicznych sklepikach, jak tylko o tem, i uważano zapowiedziane odwiedziny za dowód największej życzliwości i łaski arcyksiążęcej. Oczyszczano tymczasem i wyrównywano jedyną drogę, dzielącą wzdłuż wioskę na dwie połowy, usuwano kamienie, zakrywano lub przenoszono w inne miejsca gnojówki, a nawet samym chatom starano się nadać wygląd

mniej smutny, zwłaszcza zaś chacie ubogiego plebana, jedynemu domostwu, w którym można było ofiarować gościnę władcy. Nakoniec, po tylu roztrzęsaniach, po tylu pracach, książe przybył, zwiedził kościół, wieś i posilił się w chacie plebana, z którym prowadził rozmowę sam na sam przez dobry kwadrans. Potem, odprowadzony przez plebana do swej karocy, odjechał.

Oczywiście, wszyscy włościanie znaleźli się w tej chwili dokoła swego ojca duchownego, żądni usłyszeć, co takiego arcyksiąże mu powiedział. Lecz biedny proboszcz był jakiś smutny i milczący, a na usilne zapytania swych parafjan odpowiadał kilku ruchami głowy lub warg. Wobec tej niespodziewanej wstrzeźliwości plebana powaga osiadła na twarzach wszystkich. Wtedy proboszcz widząc, że są przygotowani na zniesienie złej nowiny, rzekł do nich: Dzieteczki moje kochane! Nasz pan biadał bardzo przede mną, że dotychczas kierowałem tą parafją, nie donosząc władzom, iż tutaj niema cmentarza. Natychmiast wyda rozkaz, by założyć go poza obrębem wsi. — Po tych słowach zostawił swe owieczki i śpiesznie wszedł do chaty.

Niełatwo opisać, jakim ciosem dla włościan była ta wiadomość. Przyzwyczajeni mieć prawie obecnych — że tak powiem — swoich nieboszczyków przy wszystkich czynnościach, przyzwyczajeni widzieć ich spuszcza-nych i odpoczywających spokojnie w owych grobach przestronnych, gdzie niezakłócona niczem panuje cisza — nie umieli zdać sobie sprawy, jak to pewnego dnia będą musieli ich zamykać w ciasnych jamach i pokrywać zie-

nią. Znalazł się nawet wśród nich niejeden, który odczuwał w tem pewną, powiedziałbym, przyjemność, że drogie mu osoby nie żyły już wtedy, gdy nieludzki zakaz nie pozwalał na pochowanie ich w kościele. Rozmowy na ten temat były długie i ożywione, ale pozbawione gniewu; pełne serdecznych uczuć i miłości — przynosiły ulgę w tym nastroju smutku i przygnębienia, które budził w nich nowy sposób grzebania.

Tymczasem rozporządzenie przyszło niebawem jasne i wyraźne, i po upływie kilku tygodni, w oddaleniu ćwierć mili od wioski, wzdłuż drogi biegnącej między lasem i polem, widniał już samotny cmentarzyk, którego poświęcenia dokonał proboszcz w otoczeniu swych przeżulonych owieczek. Parafjanie myśleli teraz z bólem w sercu o tem, kto zrobi początek. I oto zachorowało niemowlę. Opowiedzieć trudno, co wyprawiała ta biedna, zboląła matka, by ratować swoje dzieciątko; nikt nie wie, ile łez wylała, czuwając dniem i nocą nad kołyską swego biednego maleństwa; sam Bóg tylko zna jej modły, gdyż do Niego je zanosila. Lecz owa nietknięta dotychczas ziemia cmentarna miała najpierw skryć w swem łonie nieskalane grzechem ciało: nie upłynęło ośm dni a dziecinka znajdowała się w niebie.

Panuje u nas zwyczaj po wsiach, że gdy umrze dziecko, sadza się je na wielkim stole, nakrytym białym całunem, do ramion przypina mu się dwa skrzydła, również białe, a na piersi kładzie bogaty wieniec. Zmarłe otrzymuje miano aniołka. Dnia tego dom jest otwarty dla wszystkich: chłopcy, dziewczęta, młode kobiety —

jednym słowem wszystko przychodzi, by rzucić kwiatek na stół i złożyć pocałunek na twarzyczce aniołka, a nadto zrobić węzełek na sznurach jego sukienki. Węzły te służyć mają do związania z nim naszej pamięci; on, przybywszy do raju, przypomina sobie, kto mu je uczynił i poleca tych Bogu. Zbyteczną jest rzeczą mówić, ile ludzi przesunęło się dnia tego przez chatę Marji: trwało to do samego wieczora, gdyż nawet ci, co już byli, wracali raz jeszcze, a na sznurach, acz bardzo długich, wnet było tyle węzłów, że już miejsca na dalsze nie starczyło. A potem kwiatów — tych kwiatów, które w mieście z akcentem wzgardy nazywa się polnemi — było takie mnóstwo, że tworzyły dokoła ciała wielki wał, jakiego tylko niewinność może się spodziewać. Tymczasem zrozpaczona matka stała ciągle z jednej strony, czuwając nad swym aniołkiem, i jużto kładła pocałunki na jego twarzyczce, jużto jedną z rącek jego przyciskała sobie do piersi, jakgdyby chciała mu dać poznać bicie swego zbolełego serca. Od czasu do czasu z największą troskliwością odpędzała muchy, które siadały na jej dzieciątku.

Nareszcie dzień się skończył a pod wieczór przybył pleban, by przenieść zmarłe na cmentarz. Zaledwie go matka zobaczyła, wybuchnęła spazmatycznym płaczem i wybiegła naprzeciw z zamiarem pokornego ucałowania jego ręki. Ksiądz odezwał się do niej: Marjo, pogódź się z wolą nieba; Pan Bóg tak chce. — Ja się godzę — odpowiedziała, nie ustając w płaczu — lecz dlaczego chcą, by je pogrzebać w ziemi? Nie zrobiło

krzywdy nikomu za życia, nie dopiero po śmierci! — Marjo, bądź spokojna; to tylko dusza twego dziecka wróciła teraz do Boga — mówił pleban i zbliżał się równocześnie do stołu. Matka doszła tam prędyj, wzięła zmarłe dziecko na ręce, zasypywała je pocałunkami a potem, w przekonaniu, że została zrozumiana, rzekła do niego: Żegnaj aniołeczku mój; — kto cię stworzył, ten cię zabiera. Pokój mej duszy odchodzi razem z tobą. Zostawiasz mnie tutaj, lecz powiedziałaś mi: Do widzenia kiedyś. Pamiętaj, pamiętaj o swej mamusi i o tem, jak ją zostawiasz i przybądź prędko do niej... — Po tych słowach złożyła dziecko na marach, położyła na niem wieniec, przykryła wszystkimi kwiatami i wybiegła do drugiej izby, aby się ukryć.

W dzień potem, około szóstej wieczorem, ksiądz kazał mi iść ze sobą na jedną z owych przechadzek polnych, tak rozkosznych w majowej porze, lecz dla mnie wtedy podwójnie nudnych, gdyż pod bezpośrednim nadzorem jego, jakoteż dlatego, że chodziliśmy samotnie. Wyszliśmy i skierowali swe kroki ku owej drodze między lasem a polem, wzdłuż której założony był cmentarz. Zaledwieśmy zrobili jakie dwa, trzy tysiące kroków, gdy naraz czarna chmura, pędzona z przeciwka wiatrem, który dał nam w twarzę, zawisła nad naszymi głowami, grożąc potężną ulewą, jakie tak często zdarzają się na wiosnę. Proboszcz zawrócił szybko ku domowi, lecz w tej chwili lunął tak gwałtowny deszcz, że musieliśmy szukać schronienia w chacie jednego wieśniaka, mieszkającego obok cmentarza. Gdyśmy tam siedzieli, deszcz

przybrał na sile, wichur przemienił się w huragan i nagle uderzyło kilka piorunów nad sąsiednimi lasami; dzwon kościelny począł bić na trwogę.

Czekając, aż burza minie albo przynajmniej nieco przycichnie, zobaczyliśmy nagle jakąś kobietę, biegnącą szybko pod parasolem. Stała u wrót cmentarnych i usiłowała je otworzyć: wrota nie puszczają. Szarpie niemi z wzrastającą gwałtownością — ciągle napróżno. Próbuje wtedy wydrapać się na mur, lecz nie może żadnym sposobem dosięgnąć wierzchu z powodu zbyt wielkiej wysokości. Zaniechawszy daremnych wysiłków, rzuca parasol na ziemię, kładzie kilka kamieni jeden na drugim, chwytając parasol, który tymczasem wiatr uniósł w zarośla, i wskoczywszy na kupę kamieni, rzuca parasol na cmentarz; następnie, uchwyciwszy się wierzchołka muru, jednym skokiem znalazła się tam również. Ksiądz przypatrywał się temu z twarzą wielce wzruszoną i mruzczał słowa współczucia. Owa biedaczka tymczasem, znalazłszy się w środku, biegnie na świeżą mogiłę, klęka koło niej i okrywa ją troskliwie parasolem. Na widok tego objawu macierzyńskiej miłości proboszcz nie mógł już więcej panować nad sobą, usiadł na ławie i czerwony na twarzy, płacząc i szlochając jak dziecko, zawołał:

— Oto matka, oto macie miłość matczyną!...

L. CASTELNUOVO.

MOST.

Mam w swym pokoju okno, które wychodzi na most, a ilekroć w niem stanę, czas mi upływa tak szybko, że nawet spostrzec się nie zdołam.

A jednak mój most nie ma nic wspólnego ani z owym mostem, z którego Amerykanin Longfellow¹⁴ czerpał natchnienie do swych najlepszych utworów lirycznych, ani z innym, na którym nasz wielki De Amicis¹⁵ widział *maskaradę narodów*. Jest to mały most, most skromny, który nie łączy dwu światów, tylko dwie laguny mojej drogiej Wenecji.

Pod jego jedynym łukiem fala nie płynie leniwo w jednym kierunku, nie załamuje się o filary, nie szemrze, nie pieni się, nie tworzy stu małych wirów, lecz posłuszna prawom morza, z którego wychodzi i do którego powraca, wznosi się i opada naprzemian, kołysze się jużto po prawej, jużto po lewej, unosząc na swym grzbiecie złączone w przyjacielskim zespole wszelkie odpadki życia miejskiego, wszystko to, co odrzu-

cają targi, wszystko to, co wysypują z okien służące w sam środek filozoficznego: *Głowa na dół!* gondolje-rów i wykrzykników przestraszonych cudzoziemców.

Ani żaglowce ani parowe statki nie płyną pod moim małym mostem — przesuwają się pod nim tylko brunatna gondola, królowa naszych kanałów, dotykając prawie jego sklepienia swym gładkim dzióbem, swoją wyniosłą rufą i swą tajemniczą kajutą. Od czasu do czasu, gdy zbliża się wieczór, wsunie się barka rybacka na wypoczynek kilkugodzinny. Rybacy zapalają ogień i gotują wieczerzę, a przy migotliwym blasku płomieni łuk rozświetla się fantastycznie, silne światło oblewa brązowe twarze, cienie się wydłużają, skracają, wy-obrzymiają na wodzie i na murach. Pies, stojąc na przedzie barki, odszczekuje się drażniącym go z sąsied-nich zakamarków ulicznikom.

Mój most nie dudniał nigdy pod kopytami koni albo pod kołami wozów, lecz ileż to nóg wycierało jego marmurowe schody!... O jakiegokolwiek godzinie dnia stanę w oknie i spojrzę na dół, zawsze przewala się przezeń fala ludzka. Dorośli i dzieci, młodzi i sta-rzy, jedni ożywieni i weseli, z czołem wzniesionem i dumnym, drudzy z głową pochyloną, idąc krokiem wolnym i ociążałym pod brzemieniem lat i trosk... Ileż ich widzę wchodzących na schody, ile schodzących! Wystrojeni młodzieńcy i obdarci ulicznicy, kobiety z ludu, które chwieją się w biodrach i stukają na schodach obcasami swego obuwia, wytworne panie, które unoszą

rąbki swych sukien, by pokazać swe pięknie ujęte stopy, eleganccy panowie, którzy zaginają z wdziękiem swe spodnie z surowego jedwabiu, i chłopcy, którzy śpieszą do szkoły w pojedynkę a wracają gromadami, i rozpoznawcy listów i telegramów, i bersaljerzy¹⁶ w kapeluszach z piórami, podróżni zdążający w stronę dworca lub w odwrotnym kierunku, piastunki z dziećmi na rękach, gniewliwe i gadatliwe kucharki, przekupnie sprzedający wodę, dzienniki, owoce i ciastka, wykrzykujący na wyścigi i zachwalający swój towar...

Ileż ich widzę wstępujących na schody i zstępujących! A przecież oko odróżnia wreszcie niektórych w pośrodku tłumu, podchwytuje ich zwyczaje, spocznie na niejednym z uczuciem większej dla niego, niż dla innych sympatji.

Któż są ci moi przyjaciele codzienni? Nie znam ich. Wiem tylko tyle, że o pewnej porze ich widzę, że niecierpliwie się, gdy się spóźniają, że przykro mi, gdy ich nie widać. Z zaciekawieniem przypatruję się zmianom, jakie czas wywołuje u nich tak samo, jak we wszystkim, co ludzkie; z upodobaniem myślę o setkach dramatów domowych, w których moi bezimienni znajomi grają pierwszą rolę. Tę dziewczynkę pamiętam dzieckiem; tę pannę pamiętam jako dziewczynkę; tamtą panią o zagasłym oku, która zatrzymuje się na każdym stopniu i nawołuje stłumionym głosem swoich czterech czy pięciu synków, biegających z krzykiem dokoła — tę panią pamiętam kwitnącą, żywą i ruchliwą; ów mło-

dzieniec, który rzuca melancholijne spojrzenia w kierunku okna na trzecim piętrze wprost naprzeciw mego domu — poprzedniego lata chodził do gimnazjum z książkami pod pachą; owa młodziutka blondynka nie miała wczoraj owego triumfalnego uśmiechu, którym dziś jaśnieje jej oblicze: z pewnością wczoraj nie słyszała słów, które dzisiaj otwały przed nią nowe widnokręgi; ów pan siwowłosy i pochylony był jeszcze przed rokiem dziarskim mężczyzną; ten drugi, w brązowym ubraniu, chodził jeszcze przed paru miesiącami u boku prześlicznej narzeczonej...

Gdy tak patrzę na tych, którzy przesuwają się mostem przed moimi oczyma, cała wielka komedia ludzka rozgrywa się przede mną; rozgrywa się życie ze swojemi uciechami, ze swemi cierpieniami, ze swojemi przygniatającemi troskami, ze swoim wiecznem: „dlaczego?“ Myśl moja biegnie niespostrzeżenie za tymi, którzy przeszli raz przez most i nie wrócili już więcej; wielu niewątpliwie zmieniło kraj, miejsce zamieszkania lub zwyczaje, lecz wielu także z pewnością ułożyło się już do snu wieczystego. I gdy zagłębię się sam w sobie i zacznę szukać w wielkiej skarbnicy pamięci, widzę, jak stamtąd wychodzą i stają przed moimi oczyma blade i czcze mary, postaci i twarze dobrze mi znane, które nie radują się już więcej promieniami słońca; w uszach dźwięczą mi słowa, które niegdyś słyszałem a które już nigdy nie będą brzmiały wśród żywych; głosy jasne i srebrne, szorstkie i łagodne — teraz

wszystkie pogrążone w tem samym milczeniu. I myślę sobie: Pewnego dnia — któż wie, czy nie prędko? — także ci, którzy codzień wchodzą na stopnie mostu i z nich zstępują, którzy od czasu do czasu podnoszą wzrok ku mojemu oknu, nie widząc mnie na zwykłym stanowisku — powiedzą: Oh! Już go niema...

PUBLICZNOŚĆ I AUTOR.

Prawdziwym i pięknym typem autora był rzymianin Piotr Cossa¹⁷. Dla niego zarówno oklaski jak sykania nie znaczyły nawet tyle, co ten kłąb dymu wciągnięty z papierosa a potem wypchnięty z potężnych piersi.

W owe wieczory, które dla wielu pisarzy są prawdziwymi bojami, Piotr Cossa spokojny i pogodny siadywał sobie w szatni jednego z artystów. Stamtąd od czasu do czasu nadstawał z ciekawością i uśmiechem ucho w kierunku sceny — z ciekawością, która nie zdradzała najmniejszego nawet śladu wzruszenia.

Wreszcie pewnego wieczora subtelny słuch podchwycił wrzawę, do której nie był przyzwyczajony.

— Co się tam dzieje? — zapytał naiwnie przechodzącego aktora.

— Sykają, jak kłębowisko węzów — odpowiedział zagadnięty.

— Sykają? — powtórzył Cossa, wciągając z największym spokojem dym z połowy przynajmniej papierosa. — Sykają?... Co za pomyłka!... Taka śliczna scena...

I mówiąc to, miał minę człowieka, odczuwającego przykrość z powodu krzywdy wyrządzonej całkiem innemu autorowi, a nie jemu samemu.

Innym razem znajdował się w teatrze na zwykłym stanowisku, bo nie dowierzał wynikowi swej nowej pracy. Uśmiechnięty jak zawsze i spokojny, nadstawił swoim zwyczajem ucho... i zaskoczony został hałasem, którego prawdopodobnie się nie spodziewał.

— Co oni robią? — zapytał także tym razem.

— Chcą rozwalić teatr... i wyją: Autor!

— Popatrz, popatrz! — zawołał poeta z miną zawstydzonego — najgorsza scena, jaką napisałem w swem życiu!... Ha!...

Odrzucił papierosa, zdjął kapelusz, zapuścił pięć palców w swoją czarną, bujną i kędzierzawą czuprynę, i wyszedł dziękować.

DRUGIE FIASKO.

Od chwili sławnego upadku *Tej drugiej*¹⁸ znalazła się w mym domu osóbką, która ani rusz nie mogła się z tą rzeczą pogodzić. Była to moja córeczka, która z powodu wieku — miała lat siedm — nie była świadkiem fiaska, jakie zrobiła moja sztuka, a skutkiem tego nie była jeszcze przyzwyczajona do takich wydarzeń.

Nie mogła sobie dać rady z tą całą sprawą i tyle! Chodziła i opowiadała, czy kto chciał, czy nie chciał, że jej tatuś — wyobraźcie sobie — został nawet wygwizdany.

Pewnego poranku, zbliżywszy się przypadkowo do mnie, gdym siedział przy pracy, wyciągnęła główkę... spojrzała podejrzliwie na biurko, lecz uspokoiła się natychmiast, widząc, że robię rachunki; następnie westchnąwszy, odezwała się do mnie, patrząc jak dorosła osoba:

— Tatusiu... zrób jedną wielką przyjemność mamusi... i mnie.

— Jaką, duszyczko?

— Przyrzeknij, że nigdy nie będziesz pisał kome-
dyj, nigdy, nigdy!

— O! — zawołałem.

— Pewnie — dodała. — Cóż za przyjemność ci
to sprawia, tatusiu, że cię wygwizdują?

Następnie, pieszcząc się ze mną serdecznie i z nie-
bywałą mocą, głosem błagalnym i złożywszy rączki
zakończyła:

— A więc obiecujesz, tatusiu?

No, myślę! Jakże jej tu nie powiedzieć w takiej
chwili, że zrobiłbym dla niej wszystko, coby tylko
zechciała?...

Skoczyła mi na szyję i wesoła jak ptaszek po-
biegła z radością wielką do swej mamy.

W tym samym czasie zawiązywało się w Medjo-
lanie kółko miłośników dramatu, które w chwili zapału
dla przedstawień dobroczynnych obiecywało złote góry.
Będąc członkiem tego kółka, nieopatrznie wyrwałem się
z obietnicą napisania jakiejś rzeczy na inauguracyjne
przedstawienie. Biorąc pod uwagę trudności, jakie to-
warzyszą doprowadzeniu do skutku przedstawienia wśród
dyletantów, naszkicowałem już nawet pobieżnie zarysy
pierwszego aktu a na pierwszej stronie umieściłem
nagłówek: Odczyta się w piątek.

I znowu moja maleńka zaszła mię niespodzianie.

— Mamusiu, mamusiu! Tatuś pisze komedję. Ta-
tuś chce, by go wygwizdali!... Ja nie chcę, by mojego
tatusia wygwizdali!...

Zachodziła się z płaczu, wywracała wszystko
w domu — jak to się mówi — do góry nogami...
sądny dzień!

Trudno! Nie dotrzymałem jej słowa!

Od tego ranka komedja pozostała tylko jako szkic
pierwszego aktu.

A. BARRILI.

OSTATNIE CHWILE KOLUMBA.

Wiadomość o wyjeździe swego brata na dwór królewski przyjął Don Cristobal ze smutnym uśmiechem.

— Niech wraca prędko mój brat kochany, mój wierny towarzysz niebezpieczeństw — mówił chory. — Wiadomości z dworu królewskiego dzisiaj już nie oczekuję... Zresztą, gdy lada chwila mam stanąć przed obliczem Boga, nie chcę myśleć więcej o ludzkiej wielkości. Pogrzebałem takie myśli w swym testamencie — dla tych, którzy żyć będą po mnie. Oczekuję sprawiedliwości od Tego, który może mi okazać miłosierdzie. Nie pragnę już ni godności, ni zaszczytów. Jam tylko Krzysztof Kolumb dla swoich ziomków... Cristobal Colon dla tych, którzy mię jeszcze kochają w tej mojej przybranej ojczyźnie; oto wszystko, co powinno zostać z mojej istoty. Nie płaczcie, proszę was. Ja także nie płaczę, jestem spokojny i pogodny; czuję tu, w sercu, — spokój, który mię zadziwia i napawa taką błogością...

W chwilę potem pochylił czoło i zasnął snem lekkim i słodkim, jak dziecko. O, gdyby ten sen mógł mu przywrócić siły!

Słowa jednak chorego przejęły głębokim smutkiem jego przyjaciół. Co miał oznaczać odcień wyrzeczenia się tego wszystkiego, co dotychczas ożywiało, niemal utrzymywało przy życiu Admirala? Czy to przypadkiem nie rezygnacja ze samego życia?

— To smutne! — zawołał kapitan Fiesco w czasie jednej z owych krótkich rozmów, które wraz z hrabianką Juaną prowadzili urywkowo z margrabiną De Moya. — Nawet nadzieja go już opuściła.

— Tak, to zły znak. Myślałam i ja o tem — odezwała się donna Beatrice. — To zły znak. Lecz jeśli już ma umierać — dodała głosem pełnym gniewu i łez — to dobrze, iż tak umiera, z uczuciem niewdzięczności dla możnych tego świata. Królowa Joanna nie umie dwu godzin wytrwać w jednej myśli, która nie jest tak pięknie głupia, jak głupi jest jej mążzonek; Ferdynand jest człowiekiem wiarołomnym, a jeden i drugi dwór idzie za ich szczególnymi ambicjami. Któżby więc dziś myślał o wielkim odkrywcy drugiego świata?

— Będzie to wielką plamą dla Hiszpanji, jeżeli umrze tak zapomniany i wzgardzony, nie doczekawszy się sprawiedliwości — zakończył Bartłomiej Fiesco drżącym głosem.

— Nie, hrabio, nie mów tak — odpowiedziała margrabina. — Wyrzutem sumienia — niewątpliwie, a i to nie dla samej Hiszpanji, lecz dla tych, którzy nią rządzą; tak, wyrzutem, ale nie plamą. Hiszpanja jest czysta i wolna od winy, jak nigdy! Najwybrańszej duszy, jaką kiedykolwiek Stwórca zesłał na ziemię, aby

opromieniła chwałą Jego imię, Hiszpanja oddała już sprawiedliwość. Jeżeli chodzi o jej władców, niech wam wystarczy królowa Izabela. Jeżeli chodzi o jej szlachtę, czyż nie pomnicie takich imion, jak: Medina, Quintanilla i Santangel? Jeżeli chodzi o ludzi wielkich czynami miłosierdzia i nauką — przypomnijcie sobie mężów, jak: Jan Perez Marchena, Diego di Dieza, kardynał Mendoza! Jeżeli chodzi o lud hiszpański — przypomnijcie sobie, jakie tłumy witały odkrywcę, posłańca Bożego, na drodze z Kadyksu do Barcelony: czy był w starożytnym Rzymie triumf większy od tego? A ten lud hiszpański widzicie przecież i podziwiacie go razem ze mną w tym biednym Gil Garcji, który nie wiedząc nic o wojnach, niesprawiedliwościach i podłocie możnych, spłaca za wszystkich dług wdzięczności i miłości, udzielając Admirałowi gościny w swym domu. Dom to skromny — lecz czyż nie były jeszcze bardziej skromne pierwsze świątynie, wzniesione na chwałę prawdziwego Boga? I wy go widzicie, starego marynarza, przechodząc tyle razy przez przedpokój: stoi tam, ponieważ nie ma odwagi wejść do swego dowódcy, ponieważ nie ma odwagi zapytać o stan jego zdrowia z obawy, że te wiadomości będą źle brzmiały, — zawsze ma oczy łez pełne. To jest Hiszpanja, drogi przyjacielu, a o resztę, którą znacie, możecie nie dbać tak samo, jak ja. Wkońcu — dodała margrabina z wyrazem szlachetnej dumy — gdyby nikt inny tutaj, między Pirenejami i Atlantykiem, nie spłacił swych długów względem tego człowieka, — to spłacę je zawsze ja, Bovadilla, i sądzę,

że to w oczach potomnych wystarczy. Zostawiam was, moi drodzy; czuję, że on mię szuka.

Ścisnęła kurczowo ręce Fiesca i hrabianki Juany, i skierowała się w stronę pokoju Admirała, ocierając śpiesznie łzy. Także i ona, podobnie jak Gil Garcja, miała ich zawsze pełne powieki. A musiała je wstrzymywać przy łożu drogiego chorego i większą część czasu przepędzać ze spokojnem obliczem. Ilekroć przy nim nie była, czuła, że chory jej szuka; nigdy się pod tym względem nie myliła a potwierdzenie swoich domysłów znajdowała w jego słowach, ruchach twarzy, blaskach oczu...

— Jakże ona cierpi — szeptała Juana. — I jeszcze ma tyle siły, by uśmiechać się, gdy znajduje się przy nim.

— Bo też tylko wy, kobiety — rzekł Fiesco — potraficie przemóc cierpienia i okazywać twarz pogodną.

Noc przepędził Admirał spokojnie. Gorączka była mała. Chory mógł spać z przerwami kilka godzin. Serca wzbierały otuchą. Lecz kiedy pierwsze brzaski dnia wpadły do izby, Admirał prosił, by posłano po księdza z Panem Bogiem.

— Czyż nie mówiłem wam, że tego pragnę? — rzekł do obecnych, którym się zdawało, że stan zdrowia Admirała nie jest jeszcze tak groźny.

Giermek Aleksander udał się śpiesznie do klasztoru franciszkanów i wrócił z przeorem, który odwiedzał już Don Cristobala w czasie jego pobytu w Valladolid. Spowiedź trwała krótko; po otrzymaniu rozgrze-

szenia wyraził Admirał życzenie, by zwłoki jego złożono w podziemiach klasztornych. Pragnął tego z nabożeństwa do biedaka z Assyżu, którego całe życie doczesne składało się z miłości, ofiar i wysławiania dzieł Bożych.

Potem przybył z wiatykiem proboszcz kościoła św. Marji l'Antigoa, gdyż to była parafja, do której należał dom Gil Garcji. Wśród modlitw klęczącego otoczenia, którym odpowiadał pewny głos opartego o poduszki Admirała, z oczyma błyszczącemi żywym blaskiem, ze skrzyżowanemi chudemi rękoma na piersiach, obrzęd był wzruszający; obrzęd straszny z powodu mąk dusznych dla ludzi, którzy pełni jeszcze życia muszą pomyśleć, że przyjdzie wreszcie chwila, kiedy będzie trzeba z niem się pożegnać; obrzęd pełen uroczystości i nauki dla tych, którzy widzą w nim koniec nieznanego dramatu ludzkiego bytu, punkt fatalny, w którym wszystkie zaspokojone pragnienia znikają po tej samej pochyłości, co zawiedzione nadzieje — a nasza radość i ból, dobre i złe namiętności, szlachetne i podłe, lecz wszystkie jednakowo pełne mglistych urojeń, rozplývają się w nicość w wiecznem milczeniu, podczas gdy tajemna nadzieja obietnic niebieskich spływa w duszę przez te same wargi, które wykrzywił kurcz śmierci doczesnej. Bóg, niewidzialny pocieszyciel, jest w takiej chwili tutaj: czuje się, że przybywa, że się zbliża, zstępuje z uroczystem słowem, którego aniołowie nauczyli nieudolne języki ludzkie...

Po odejściu religijnego orszaku Admirał usnął. Lecz były to tylko krótkie chwile ciszy, które obecnie

już nikogo z przyjaciół ludzić nie mogły. Pierś chorego pracowała ciężko i z wysiłkiem, mięśnie twarzy ściągnęły się, oczy uciekły w głąb, tętna płonęły pod uderzeniami gorączki, czoło i skronie perliły się zimnym potem. Nagle podniósł powieki, powiódł oczyma dokoła, przypatrując się kolejno obecnym.

— Diego? — zapytał wreszcie. — L'Adelantado? Nie przybyli jeszcze? Biedacy...¹⁹

Zdawało się, że chciał dodać: nie zobaczą mnie więcej.

Przez chwilę trwał w milczeniu; następnie obróciwszy wzrok na syna Ferdynanda, wezwał go ku sobie.

— Tyś za wszystkich? — wyszeptał. — Niech w tobie będą wszyscy błogosławieni.

Młodzieniaszek pochylił się z szlochom pod pieśczętą rąk ojcowskich.

— Czemu płaczesz? — podjął na nowo umierający. — Tak być musi: takie już prawo. Prawu musi się być posłusznym. Szczęśliwy, kto je rozumie od młodości i stosuje do niego wszystkie swoje czyny, panując nad swemi namiętnościami, przebacząc i kochając... Wstań, bądź mężny, synku — dodał po chwili przerwy. — Także twoja droga główka mi ciąży... Otwórzcie, otwórzcie to okno, bym odetchnął jeszcze raz tem powietrzem, którem oddycha tylu szczęśliwych...

Gorączka się wzmagala. Admirałowi brakło tchu, poruszał się niespokojnie, podnosił, wyciągał ramiona w ten sposób, jakgdyby chciał się uchwycić jakiejś rzeczy.

— Nędzna glino! — zawołał. — Poco się męczysz i natężasz? Czy chcesz żyć na siłę?

Giermek Aleksander zbliżył się do niego i głosem pełnym miłości zaczął mu szeptać słowa pociechy.

— Ufajcie w Bogu, panie Admirale. On, Ojciec miłosierny i sprawiedliwy, spełni cud dla was i dla nas...

Oczy umierającego zajaśniały niezwykłym blaskiem.

— Bóg! — zawołał — Bóg! Czułem go tam, na oceanie, gdy głos jego górował nad hukiem rozpasanych żywiołów. Bóg mi towarzyszył, Bóg chciał przechować moje dobre imię w soli goryczy! Bóg był moją siłą, Bóg był moją sławą. Jemu wszystko zawdzięczam; bez Niego nie byłbym niczem... Przeszedłem życie, kochany o wiele więcej, niż na to zasłużyłem. To była łaska Boża, że prześcigały się w miłości ku mnie wszystkie szlachetne dusze Hiszpanji: dobry ojciec Marchena, Quintanilla, Santangel, dobrotliwi pocieszyciele; Diego di Dieza, mój miecz; święty Mendoza, moja tarcza; Beatrice de Bovadilla, mój anioł opiekuńczy; Izabela, chluba i ozdoba tronu. Nacóż żyła Izabela? Czy nie na to, aby dzięki niej otworzył się nowy świat dla praw Boga, dla praw Miłości?... O, ta nienawiść, sina i czarna nienawiść! Och, to pragnienie złota — nienasycone, okrutne pragnienie!... Oto, co potrafią uczynić ludzie z darów Bożych! Czy w ten sposób zmierza się do ogólnej zgody wielkiej rodziny ludzkiej, krocząc przez rzezie i strumienie krwi? Biedni Indjanie! Nieszczęśliwe

a niewinne istoty, wybijane bez litości, jak stada dzikich zwierząt!... Niewolnicy!... Niema więcej niewolników pod panowaniem Chrystusa!... Tak! Przecież i niewolnicy należeli do domów bogacza, tworzyli część rodziny chrześcijańskiej, odmawiając razem z panem modlitwę, która podnosi i oczyszcza, modlitwę, która w jednej chwili czyni braćmi wszystkich, zrodzonych z tego samego nasienia... Nie, nie niewolnicy! Niewola to wielka niesprawiedliwość. Szlachetne serca! Zostawcie ich wolnych, nie pozwólcie im zamęczać się w waszych plantacjach pod palącymi promieniami słońca, umierać w bródach, zalanych strumieniami ich potu; nie pozwólcie ich bić, gdy wyczerpane nadmierną pracą członki odmawiają im na chwilę posłuszeństwa; nie pozwólcie ich chwytać, gdy zbiegną do lasu, nie pozwólcie ich kęsać i rozrywać swym psom; nie pozwólcie, by umierali wśród męczarni na sromotnych szubienicach, na stosach, na których syczy płomień i ich ciało...

— Tak, mój drogi przyjacielu — mówił dalej do swego dawnego oficera Fiesca, który stojąc prosto i nieruchomo w nogach łóżka, słuchał drżąc na całym ciele i przyciskając pięści do gardła, by nie wybuchnąć łkaniem — tak. Bóg ma pewien kres, którego my nie umiemy pojąć. Bóg snuje niezmierną tkaninę, z której widzimy tylko jedno pasmo. Nie wątpicie... Niech się wam to nie wydaje rozumowaniem małego umysłu. Ma właśnie swoją wielkość widzenie w ten sposób sprawiedliwości Bożej — nie ma natomiast żadnej zaprzeczanie

wszystkiemu: obrazowi i jego Twórcy. Bóg widzi i czuwa w swych niezbadanych wyrokach; daje nagrody, pomija dobrych, którzy spokojni go oczekują, ale oko Jego spoczywa na złych, tudzież na ich czynach...

Mówiąc to, był niezmiernie podniecony. Daremnie usiłowano go uspokoić. Policzki mu płonęły, źrenice się iskrzyły — lecz w tem wielkiem świetle, od którego paliły się jego oczy, nie odróżniał już nikogo. Zaczął majaczyć; zarysy otoczenia stawały się mgliste dla zamierającego wzroku, słowa padały z ust urywane.

— Moje imię legion, niegodziwcy! I wszyscy przeciw rycerzowi Bożemu! Podaj mi szpadę moją, Fiesco! Gdzie moja szpada? Uderzę na nich! Pozabijam! I ty Roldano, któregom zawsze błogosławił? Guevara, Porras, podłe nasienie! Aguado, Ovando, czarne duszel... Don Francisco de Bov... Nie, nie! Precz ze szpadą! Człowiek niech przebacza a Bóg niechaj sądzi. Widzę Go już, idzie... idzie... odpędza ich — idzie w wielkiem świetlanem kole... Ślepy, ślepy ten, kto cię nie widzi, wielka Światłości duszy! O Panie, któremu ufałem zawsze, w którym pokładałem zawsze swoje nadzieje!... Gdzież Twój święci, obrońcy moi?... Ach, widzę ich, widzę, zjawiają się niewyraźnie w świetle Twej chwały, uśmiechają się... dają mi znaki... wołają...

Dyszał. Słowa padały coraz rzadziej, coraz niezrozumialsze. Jeden ruch kurczowy, szybki, gwałtowny — pierś poruszyła mu się gwałtownie, jakgdyby to serce, nagle obłąkane, zatrzepotało się w środku, usiłując

wydobyć się ze swego więzienia. Uczynił jeszcze jeden wysiłek, wysiłek nadludzki, aby wydać ostatnie słowa:

— W Twoje Panie... w Twoje... *In manus tuas, Domine, commendo spiritum meum...*²⁰

Po tych słowach dusza wielkiego odkrywcy uleciała na spotkanie swojego Boga.

R. FUCINI.

SŁODKIE WSPOMNIENIA.

I on także dzisiaj nie żyje! W tem wejrzeniu łagodnem i pogodnem, w tym uśmiechu, którym pośród przyjaciół promieniały jego małe, niebieskie oczy, wszyscy widzieli duszę wesołą i trzpiotowatą; nikt z nas — nie wyłączając mnie — nie przypuszczał, że tkwi w nim charakter myślący i dzielny.

W dwunastym roku życia opuścił dla studjów dom rodzicielski i sam, zdala od swoich, w tym wieku, w którym acz z miłością spoglądamy na świat szeroki, odczuwamy zawsze potrzebę opiekuńczych skrzydeł matki, jak młode jaskółki, zanim same odważą się latać — musiał rzucić się w wir życia odrazu jako mężczyzna, nie przeszedłszy jeszcze lat chłopięcych.

— Ale to było dla mnie ratunkiem i odniosłem zwycięstwo — mawiał do mnie często z dumą; — odniosłem zwycięstwo, ponieważ byłem zbrojny od samego dzieciństwa w owo wychowanie wolnomyślne wprawdzie, lecz zacne, nieraz romantyczne, lecz zawsze pełne żywotnej siły, a które nasi starzy wolnomyśliciele

dawali swym synom, wychowując ludzi dzielnych duchem i ramieniem²¹...

— Posłuchaj — mówił jednej nocy, gdym go pielęgnował w chorobie — posłuchaj próbki oryginalnej metody wychowawczej, małej sceny rodzinnej, która po tylu latach tkwi mi zawsze żywo w pamięci wśród najśodszych wspomnień.

Ojciec mój, lekarz w małej mieścinie górskiej, zarabiał w mojem dzieciństwie pięć paolów²² dziennie, co na dzisiejsze pieniądze wyniosłoby niecałe trzy liry. Licząc jeszcze nędzne zarobki uboczne z trafiającego się czasem konsyljum, z jakiejś małej operacyjki albo odwiedzin lekarskich poza obrębem swej gminy, można przyjąć, że dochody jego wynosiły okrągło cztery liry i to raczej mniej, niż więcej. Z tych dochodów trzeba było utrzymać na odpowiedniej stopie rodzinę, dalej konia, służącego i mnie na wszechnicy. Staram się rzecz przedstawić zwięźle, ponieważ czuję, że za długie mówienie zmęczy mię a ty możebyś się znudził.

Pewnego wieczora po ferjach B. Narodzenia — miałem wtedy lat siedmnaście — wróciłem do Pizy ze swoją pensją miesięczną ośmdziesięciu lirów w kieszeni. Powtórny widok przyjaciół sprawił mi ogromną radość: idę z tem wesołem bractwem na dobrą wieszczkę, piję, popadam w natchnienie, chodzę śpiewając po ulicach miasta do późnej godziny, a wreszcie wpadam do pewnego domu gry, gdzie w przeciągu dwu godzin przegrywam całą pensję miesięczną i wychodzę stamtąd z długiem trzydziestu lirów u jednego z przyjaciół,

który mi tę kwotę pożyczył. — Drobnostka, powie ktoś; to prawda; ale drobnostka, która w stosunku do warunków, w jakich żyła moja rodzina, była ciężka, może nawet zbyt ciężka.

Przybywszy do swej izdebki, rzuciłem się na łóżko, ale nie mogłem usnąć: sapałem, budziłem się ustawicznie, nie mogąc znaleźć odpoczynku. Miałem wprawdzie chwilę półsnu, lecz to jeszcze pogorszyło mój stan. Brylanty, mordercy, kopalnie złota, bójkę na noże, potworne widziadła, gonitwy do utraty tchu przez nieprzejrzone pustynie, wycia, gwizdy, przekleństwa... śniłem potrosze o wszystkim. Wreszcie potężne wstrząśnienie; otwarłem oczy, pot lał się ze mnie strumieniami.

— Co tu zrobić? — myślałem. — Prosić którego z przyjaciół? Napisać do którego z krewnych? Do matki? Do mego... Tak! Trzeba tam pojechać jak najprędzej. Akt skruchy, trochę tragedji, trochę krzyku, ostatecznie... czemuż nie? Ostatecznie parę kijów i koniec! Potem nie będę potrzebował myśleć o tem wszystkim więcej. — Wyskakuję z łóżka, pożyczam małą kwotę pieniężną od pierwszego spotkanego rano przyjaciela, zaszywam się w kąt wagonu trzeciej klasy i jadę do domu.

Podróż zrobiła mi dobrze. Rozprawiałem ustawicznie o polityce i o wojnie z jakimś pośrednikiem księgarskim, który jechał do Sinji, i miałem chwile, w których marząc poważnie o sławie, wojsku i miłości przed towarzyszem podróży, zachowywałem się zupełnie spokojnie; pykając fajeczkę, zapomniałem o swym losie

tragicznym i czułem się niemal dumnym z tego, że także ja popełniłem pierwszy szalony czyn, o którym mogę drugim opowiadać.

Lecz kiedym zobaczył wznoszącą się wśród lasów wieżyczkę naszego kościółka, potem dach naszego domu i unoszący się dym z komina, buta moja runęła i poczułem, że nogi chwieją się pode mną.

Gdym przybył do domu, ojca nie było. Matka moja zatrwożyła się, widząc moją bladość; sądziła, że choruję.

— Nic mi nie jest, jestem zdrow... doprawdy.

Twarz jej wypogodziła się natychmiast i uspokojona już zupełnie wskutek mego stanowczego zapewnienia, słuchała dość spokojnie, gotując równocześnie obiad, mego opowiadania z kącika kuchni, gdzie siedziałem skulony, grzejąc się przy płomieniu, który trzaskał wesoło pod garnkiem z rzepą. Gdym skończył, zawołała, patrząc na mnie z przerażeniem:

— Synku mój!... Pytam się ciebie, jak to powiedzieć ojcu?

Następnie, po dłuższej przerwie, rzekła zamyślona:

— Niepodobna! Jakże ty chcesz, by on tobie dał dziś drugą pensję, skoro w domu niema nawet tyle, by jakoś wyżyć?... Pożyczyć!... A potem? Dziś niema litości, niema... Z ojcem coraz gorzej i zdaje się, że zbliża się jego koniec...

Patrzyłem na nią spokojnie; matka się uspokoiła.

Ciepło mego kącika, znużenie i wycie wiatru w kominie uspiły mnie tak, że nie spostrzegłszy się, zasnąłem z głową opartą na poręczu krzesła.

Kiedym się obudził, ojciec siedział z drugiej strony ogniska i suszył przy płomieniu zmoczone od deszczu spodnie. Wydawał mi się znużonym i był blady, kaszłał okropnie i miał bryzgi błota na twarzy.

Słyszając, że się ruszam, podniósł głowę.

— Dzień dobry, tato.

— Dzień dobry — odpowiedział. — Pozatem nie rzekł ani słowa.

Po pewnym czasie wstał, powiedział do matki, by pośpieszyła się z obiadem, ponieważ musi wyjechać zaraz, i udał się do swego pokoju.

— Mama powiedziała ojcu wszystko? — zapytałem drżącym głosem matkę.

Matka potwierdziła skinieniem głowy.

— Cóż tato powiedział?

— Zapytał, czyś zdrów i wziął się do czytania.

Obiad był ponury. Moi staruszkowie zamieniali między sobą słowa, tyczące się spraw domowych a ja ciągle oczekiwałem burzy, która byłaby mi zrobiła tak dobrze na sercu, gdybym był mógł ulżyć sobie krzykiem i płaczem! W oczekiwaniu, czy w chwili wybuchu gniewu nie znajdę wybiegu, że przecież cała wina nie jest po mojej stronie, przeniknęły mię jak stal słowa ojca, z którymi zwrócił się do mnie w tonie zwykłym i nacechowanym pewną niemal serdecznością:

— Widziałeś pana Józia? (Był to kolega szkolny ojca, któremu zawsze miałem obowiązek zawieźć pozdrowienia, ilekroć jechałem do Pizy).

— Nie...

— Jutro rano odjedziesz pierwszym pociągiem. ...Zbudzę cię wcześniej, gdyż będziesz musiał iść na stację pieszo... Konia potrzebuję sam.

— Dobrze.

Skończywszy obiad, wyszedł. Wrócił późnym wieczorem, zjadł skromną wieczerzę i położył się do łóżka, rzuciwszy mi znużonemi oczyma chmurną pieśczołę.

Na drugi dzień zbudził mię o piątej. Było ciemno, zimno, wył wicher i padał śnieg. Gdym wyszedł z izby, matka, która już wstała, czekała na mnie, by mię pożegnać.

— Czy zostawił tato mamie pieniądze? — zapytałem cicho.

— Czeka na ciebie na dworze.

Wybiegłem i w świetle latarni, którą trzymał służący, zobaczyłem przed sobą ojca, już na koniu, nieruchomego, okutanego w obszerny płaszcz, pokryty śniegiem.

— Masz! — mówił do mnie zwolna a każde słowo jego przeszywało mi serce.

— Masz!... Teraz twoja rzecz... Lecz zanim je wydasz... Patrz na mnie! — i przeszył mię wzrokiem pełnym dumy i smutku. — Zanim je wydasz, pomyśl, jak ciężko ojciec twój je zarabia!

Dał ostrogi koniowi, ruszył nagle z miejsca i oddalił się z głową pochyloną, wśród ciemności, wśród śniegu i wśród podmuchów szalejącego wichru.

GDY SIĘ WJEŹDŹA DO NEAPOLU...

Pierwszem wrażeniem, jakie odbiera się przy wjeździe do Neapolu, jest wrażenie odświętnego w mieście nastroju. Ten zgiełk, wrzawa, tłum pojazdów i pieszych, przewalających się ulicami — to wszystko wydaje ci się na pierwszy rzut oka rzeczą przejściową, czemś, co leży poza codziennym trybem życia, rewolucją, demonstracją i Bóg wie, czem jeszcze. Wzniesiesz oczy do góry: tysiące i tysiące okien i drugie tyle balkonów, firanek trzepocących się w słońcu, liści i kwiatów i osób spotykanych utwierdzają cię w twym mniemaniu. Wrzawa, krzyki, trzask biczów ogłusza cię, słońce cię oślepia; mózg twój zaczyna doznawać objawów zawrotu głowy, płuca twe pracują z wysiłkiem; zdaje ci się, że uniosło cię coś celem brania udziału w burzliwej demonstracji, w oklaskach, w okrzykach: Niech żyje! — lecz dla kogo? — Scena, która roztacza się przed twemi oczyma, nie ma w sobie nic nadzwyczajnego; panuje najzupełniejszy spokój; żadna potężna namiętność nie podnieca tych tłumów; każdy śpieszy do swych

zająć, mówi o swoich sprawach; jest to dzień taki, jak inne; jest to codzienne życie Neapolu i nic więcej.

Dziwne to miasto! Co za mieszanina najdosko-nalszego piękna i brzydoty, najlepszego i najgorszego, najprzyjemniejszego i najwstrętniejszego! Wrażenie, jakie odbiera umysł z tej całości, jest takie, jakgdyby bezustannie zamykało się i otwierało oczy: ciemności — światło, światło — ciemności. Obok najwytworniejszej damy — grupa nędzarzy, okrytych ohydą łachmanów; pod nogami brud i nieczystości — wysoko nad tobą lazur niebieski; z jednej strony czerstwe twarze majtków — z drugiej blade twarze ubóstwa, znikające w mrocznych norach; tam, dalej, gromada eleganckich szlifibruków otacza wonny kosz kwociarki — a tu, obok ciebie, grupa uliczników w koszulach tarza się wśród śmieci; tam odurza cię wspaniała woń pomarańczowego kwiatu — a o dwa kroki dalej piekielna woń ulicznej garkuchni zabija twój zmysł powonienia; smętny śpiew kobiety, płynący słodko z kwiecistego balkonu, upaja cię poprostu — przeraźliwy ryk osła rozdziera twe uszy... I tak w nieskończoność!

Nadzwyczajna i oślepiająca różnorodność tego wszystkiego, co wpada w oczy obcemu, sprawia, że zaczynamy wierzyć, jakoby wszyscy tutaj podali sobie ręce, by nie robić tego samego w ten sam sposób. Duch jakiejś pierwotnej niezawisłości panuje tu niepodzielnie; każdy robi, co mu się chce i podoba, nie troszcząc się zupełnie, czy to wyda się śmiesznem drugiemu lub sprawi mu przykrość. Policja jest całkiem albo niemal

bezsilna wśród tego chaosu. Kowal wynosi swą kuźnię na środek ulicy i tó samo czynią inni rękodzielnicy; mieszkańcy suterren, których wypędziły z ich jaskiń mrok lub malarja, rozbijają obóz na ulicy wraz ze swemi meblami, psami, kotami, kurami i bydłem; tu cały dzień wrzeszczą, próżnują, pracują, śpią, jedzą i trawią; a ponieważ to wszystko odbywa się od samego świtu do późnej nocy, przeto całe miasto nabiera wyrazu olbrzymiego składu tandeciarza.

Na niektórych ulicach nieboskłon jest niemal zakryty tysiącem bielizny, rozwieszanej celem suszenia i wietrzenia na sznurach, przeciągniętych wpoprzek ulic; bielizna ocieka, lśni się, igra z wiatrem, jakgdyby i ona chlubiła się przed słońcem zdobytą wreszcie białością. W innych ulicach ruch jest często wstrzymany z powodu przeszkód; nic to: ludzie idą wtedy bocznemi ulicami, posuwają się naprzód, śmieją — i nikt nie mruży, ani się nie żali, bo nikt tam nikomu nie czyni wyrzutów, ani nie wywołuje żalów, jeżeli ze swej strony czyni to samo.

A. FOGAZZARO.

EDEN ANTO.

Jeden z moich przyjaciół, znawca zoologii, jest przekonany oddawna, że gdyby najstarszy z żyjących hipopotamów chodził prosto na tylnych odnóżach, podobny byłby najzupełniej — przynajmniej ztyłu — do doktora Marka, asesora jakiejś mieściny nadpadańskiej (mniejsza o to, której), urosłego z małego notariusza na wielkiego bogacza (mniejsza o to, jakim sposobem) — tak, że byłoby to tylko aktem czystej sprawiedliwości nazwać go złotym hipopotamem a nie złotym cielcem. Dwie olbrzymie stopy, z których jedna sięga wschodu, druga zachodu; dwie rozstawione, potężne nogi; potworna, długa kacabaja; ni śladu szyi, tylko dwie szerokie, krzywe łopatki i łeb tak w nich schowany, że skrzydło kapelusza spoczywa na plecach; nadnaturalne ramię, wyciągnięte przed siebie a oparte na przykrótkiej ladze — oto doktor Marek *a posteriori*²³.

Niedawno temu brodził przez błotniste kałuże placu, przy którym mieszka, z ociężałą wesołością hipopotama, wietrzącego wodę.

— Mecenasiel — zawołał, utykając za nim z wysiłkiem jakiś księżyna. — Mecenasiel! Pozwól pan!

Marek brodził ciągle poprzez kałuże, nie oglądając się. Ksiądz szedł za nim, powtarzając swoje: Mecenasiel! Mecenasiel! Mecenasiel! Vasco! — aż wreszcie dosięgnął go i uchwycił się jego surduta. Dopiero wtedy notariusz obrócił głowę, nie zatrzymując się wszelako.

— Wybacz pan, panie mecenasiel — rzekł ksiądz z uśmiechem i uchylając kapelusza — lecz...

— Nie jestem wcale adwokatem. Sługa!

Tamten stanął jak wryty, przypatrując się potwornym plecom, które oddalały się spokojnie.

Widziany w ten sposób, był Marek zupełnie podobny do Vasca. Tylko, że Vasco był może hipopotamem mniejszym, który różnił się od drugiego kabłąkowatemi nogami i głową pochyloną nieco na lewo, z wyrazem melancholijnej łagodności.

Dziwnem było to, że doktor Marek zmierzał właśnie prosto ku domostwu adwokata Vasca. Kto wie, jaki niepokój byłby się odbił w oswojonem cielsku, w czerwonej, gładkiej twarzy hipopotama mniejszego, gdyby był przeczuł przybycie hipopotama większego! Lecz ów poczciwy, łagodny i trwożliwy człowiek, pełen pańskości w każdym calu a płynący powoli, aż do sześćdziesiątego ósmego roku życia bez zmayı i bez skargi, w ubóstwie wprawdzie tajonem, wszelako nie groźnem, nie zdawał się myśleć w tej chwili ani o swym wierzycielu Marku, ani o żadnej niedoli tego świata.

Zajęty był swoją pracą, już to pisząc w potężnym, ciemnoniebieskim foljale, już to rozmyślając nad kartą tytułową poźółkłej od wieków księgi formatu czwórki. Namiętny miłośnik książek, posiadał pewną kulturę rozległą, acz niezupełną. Podeszły wiek nie dozwalał mu obecnie oddawać się zawodowi; z rodziną miał tylko kłopoty; z dawnych przyjaciół li tylko ta lub owa książka zostawała dlań wierna i żywa. Owego dnia służąca wyszła nie zamknąwszy drzwi i doktor Marek wcisnął się łatwo na ciemne schody, drapał się na górę sapiąc, trzymając się poręczy i przystawając co trzy kroki.

— Słuchaj, ty bydlaku! — zawołał z góry chrapliwy głos pani Vascovej. — Już na kawę, naturalnie, bydlę jedno — rzekła, wychylając przez poręcz postać cienką jak wrzeciono i twarz chudą, jaszczurczą. — Ileż ci czasu trzeba, by wciągnąć na górę ten wańtuch?... O, mój Boże! Pan doktor! Najmocniej przepraszam; myślałam, że to mój mąż!

— Nie szkodzi, pani Karolino — odparł Marek spokojnie. — Niema w domu tego drugiego wańtucha?

Pani Karolina pobiegła popatrzeć, wróciła za chwilę z oznajmieniem, że Vasco jest w swej pracowni, i zaprowadziła tam notariusza.

— Jasieczku — rzekła, otwierając drzwi — pan doktor... Idę, idę już — dodała, widząc, że doktor zwrócił się w jej stronę z wielce wymowną twarzą.

Tymczasem „Jasieczek“, uchyliwszy jedną ręką czapeczki, podnosił się zwolna z karła i spoglądał dwoma oczkami, dziecinnie trwożliwemi i bolejącemi,

na olbrzymiego gościa, osadzonego we drzwiach z ramionami i nogami rozstawionymi, z kapeluszem w prawej i potężną laską w lewej.

— Sługa najniższy pana doktora — rzekł pokornie. — Proszę spocząć.

Tamten rzekł tylko sucho: Witam.

I ruszył naprzód, szukając oczyma krzesła. Adwokat tymczasem powstał, podreptał drobnym i skwapliwym krokiem, trzęsąc przytem brzuchem, ramionami i fontaziem czapeczki, aby wziąć dwa krzesła i postawić je obok siebie.

Siadali zwolna, spoglądając wzajemnie na siebie, Marek bardzo sztywno, drugi bardzo trwożliwie.

— Pan pozwoli? — zapytał doktor siadając.

— O mój Boże! — odrzekł pośpiesznie pan Jasieczek, a zachęcony tym objawem grzeczności, wyciągnął tabakierkę, podał ją Markowi i sam zażył szczyptę, poczem obie osoby, zatapiając podbródki w przodach koszul, spuściły oczy i zmarszczywszy brwi, zrobiły prztyczkami porządek na przodach swych koszul i na odzieniu.

Wreszcie doktor Marek, strzepnąwszy czterema palcami ostatnie drobiny tabaki, podniósł głowę.

— A więc? — zapytał.

Biedny Vasco osunął się zwolna po oparciu i wyciągając opadłe ramiona, odrzekł, patrząc wgórę:

— Nie mogę... Doprawdy, nie mogę.

Marek ściągnął brwi, puścił w ruch grube, obwisłe wargi.

— Strzeż się pan — rzekł. — Strzeż się pan, bo znana panu nasza umowa.

— O tak, panie. Znam ją. Więc cóż? Niech pan robi, co chce. Żal mi tylko Karoliny. Biedna kobieta, będzie się zadręczała swoją troskliwością o mnie, wyobrażając sobie, że to ja mam dużo cierpień. Ja tymczasem... czegoż pan chcesz?

Vasco zniżył głos, wykonał ruch uroczysty.

— Zdrętwiałem, mój panie, zdrętwiałem zupełnie. O, dobrze — dodał. — Powiem panu, że będąc w odrętwieniu, *cupio dissolvi*, tak, *cupio dissolvi*²⁴.

Brzuch i łopatki podskoczyły mu przytem od krótkiego, gorzkiego uśmiechu.

— Znakomicie! — przerwał Marek. — Niech pan powie, drogi panie, że nie zależy ci nic ani na długach, ani na wierzycielach. Dlaczego pan się nie ruszy? A ten szwagier pański, do którego miał się pan zwrócić? A ten syn, który miał panu przysłać pieniądze?

— Tak, panie, chciał to uczynić, biedactwo, ponieważ ma dobre serce; lecz... jest moim synem a więc nie ma szczęścia. Jako oficer marynarki musi udać się do Afryki, niech pan pomyśli! Może lepiej o tem nie mówić, ale... będzie to chluba mojej rodziny. Syn mój pisze, że bardzo szczęśliwy, tak... bardzo szczęśliwy. Pisze mi list, który wzrusza do głębi; pisze jak bohater. Lecz tymczasem musi mieć nagwałt konia, ponieważ oficerowie marynarki mogą zostać przydzieleni do służby na lądzie i minister żąda od nich, by zaopatrzyli się w konie. Pan nie wierzy? Pokażę panu list.

— Niech mu pan napisze, że jest osłem! — zaryczał Marek. — To będzie najodpowiedniejsze dla niego!

Biedny adwokat, zadraśnięty do głębi w swej miłości ojcowskiej i w dobrej wierze swojej, skręcał się cały, wydając ciche pomruki i westchnąwszy kilka razy: Boże, Boże — w czym mieściła się cała głębia bólu i gniewu.

— A szwagier? — zapytał Marek.

— A szwagier... szwagier... — bełkotał Vasco, który odczuwał straszliwą trwogę wobec tego mrukliwego krewnego. — Aby rzec panu prawdę, nie mówiłem z nim jeszcze; chciałem właśnie iść do niego dziś rano.

— Chciałem? Ale niechże pan idzie, zaraz idzie. Przecież mieszka tu w sąsiedztwie? Oczekuję pana.

Vasco, zdjęwszy czapkę lewą ręką, podrapał się po karku prawą; następnie, ponieważ trwoga, ogarniająca go w tej chwili, wzięła górę nad trwogą przedtem, co dopiero nastąpi, westchnął swoje zwykłe i pokorne „za pozwoleniem“ i wyszedł krokiem chwiejnym i z twarzą żalowaną.

Pani Vasco, usłyszawszy z góry miarowy odgłos jego kroków, zawołała: Do widzenia panu! — poczem pobięła do pokoju męża.

— Poszedł już ten pies? — zapytała, otwierając drzwi. — Zobaczywszy Marka, krzyknęła i uciekła z takim pośpiechem, że kiedy ów wykonał wreszcie w jej stronę obrót swem cielskiem i swoją uśmiechniętą paszczą, już jej nie było.

Przez pewien czas spoglądał na drzwi, poczem się podniósł, obszedł zwolna pracownię i popatrzył, co takiego u diabła pisał ów idjotyczny Vasco.

U góry wielkiej niebieskiej stronnicy widniały słowa:

„Ostatnie moje życzenie“.

Następowało kilka wierszy przekreślonych dwoma wielkimi pociągnięciami pióra nakrzyż:

„Popadłszy w tej mojej podeszłej starości w przykre stosunki i nie będąc zdolnym swym zesłabłym duchem trwożnie oczekiwać takiej nędzy, której nie zostanie nawet najsubtelniejsza osłona pozorów, przekonany, że dzisiaj nie mogę już być niczem dla swej ukochanej małżonki tudzież dla swego ukochanego syna, jak tylko zmartwieniem i ciężarem, ja...“

Piszący zatrzymał się w tem miejscu. Następowała przestrzeń niezapisana. Niżej stały następujące słowa:

„Popadłszy w tej mojej podeszłej starości w przykre stosunki a ufając, że Opatrzność Boża raczy mię tak, jak ją z głębi serca mego błagam, uwolnić od tego zbyt długiego życia, uciążliwego dla mojej rodziny a niemal nieznośnego dla mnie, dziękuję mej cnotliwej żonie za wszystko dobre, które mi wyświadczyła, błogosławię najukochańszego syna i proszę wszystkich, by zechcieli zachować dobrą pamięć o mnie.“

Jeżeli w ciągu sześćdziesięciu ośmiu lat uczciwego i pracowitego żywota zasłużyłem się czemkolwiek około swojego kraju rodzinnego, spodziewam się, że będzie mogło urzeczywistnić się moje ostatnie życzenie, które

wyrażam poniżej pod adresem mych krewnych i przyjaciół, szanownej Dyrekcji Biblijoteki Narodowej, tudzież wielce szanownego Magistratu. Pragnę, by mój cenny egzemplarz *Orlanda Szalonego*²⁵, wydane go przez Franciszka Rosso z Walencji 1 października 1532, z przywilejami papieża Klemensa VII, doży Grittięgo i Franciszka Sforzy²⁶, przeszedł na własność naszej Biblijoteki. Jest to trzecie wydanie poematu, ostatnie z wydań, dokonanych za życia poety, a uznane za najlepsze z pomiędzy wszystkich innych przez Apostoła Zena²⁷, który posiadał jeden taki egzemplarz z objaśnieniami Piotra Aretina²⁸. Znanych jest tylko pięć egzemplarzy tego wydania, z których jeden sprzedał w Anglii hrabia Garimberty z Parmy za 4000 lirów. Za mój egzemplarz ofiarował mi księgarz R. w Rzymie 3000 lirów. Rycinę tytułową wykonał i rytował w miedzi Tycjan Vecellio. U dołu karty umieszczony jest wstający ze stosu feniks²⁹ o rozpiętych skrzydłach a ponad feniksem widnieją dwa tajemnicze słowa, które wielu uczonych starało się nadaremnie objaśnić: EDE NANTO. Sądzę, że dotarłem po długich studjach i rozmyślaniach do rozwiązania zagadki i proszę, aby w razie uratowania tego egzemplarza dla Biblijoteki umieścić na karcie pismo, zawierające nazwisko moje, życzenie tutaj wyrażone i moje objaśnienie dwu słów tajemniczych.

Ponieważ wymienione wyżej słowa nie mogły oznaczać nikogo ani w naszym, ani w obcym, ani w łacińskim języku, uważałem, że trzeba się uciec do jakiejś mowy mistycznej, której klucza naprózno by teraz ktoś

szukał, albo do świętej mowy starożytnej Hellady. Przekonany o tem, badałem długo nadaremnie, jakby te słowa brzmiały po grecku i nie mogłem ich odgadnąć, jak tylko dzieląc w sposób taki: EDEN ANTO, uzmysłowiwszy sobie wtedy ich pochodzenie od słów greckich „dajo“, płonę i „antos“, kwiat, tudzież takie znaczenie: „(S)płonął (z) kwiatem“ — znaczenie w każdym razie zdumiewające czyto w znaczeniu właściwem odnośnie do feniksa, czyto w przenośnem odnośnie do poety. Może ktoś potrafi...”

Tu urywał się rękopis; lecz gdy kroki adwokata dały się słyszeć w przedpokoju, Marek doszedł tylko do słów, gdzie była mowa o trzech tysiącach lirów ofiarowanych za książkę i stał jeszcze pogrążony w rozmyślaniach nad tą cyfrą z przelotnym, słodkim uśmiechem. Podeszedł ku oknu i udawał, że patrzy na podwórze.

Pan „Jasieczek“ wszedł zafrasowany, w nastroju jeszcze bardziej grobowym, niż przed wyjściem z domu.

— No i co? — zapytał Marek.

— To, czegom się spodziewałem, drogi panie — odpowiedział adwokat siadając. — Jeszcze mnie wylażał — dodał starowina, odetchnąwszy.

Marek usiadł także, poważny. Nastąpiło długie milczenie. Obaj patrzyli prosto przed siebie, jeden w drzwi, drugi w okno.

— Cóż będzie? — rzekł wreszcie Marek. — Pomyśl pan dobrze: jest tego 2500 lirów.

— Proszę pana — rzekła służąca wchodząc — przyniosłam panu kawę.

Adwokat nie ruszył się. Zobaczywszy filiżankę przed sobą, rzekł cicho:

— Przynies drugą.

Służąca odrzekła, że myślała o tem, lecz pani wyszła, zabrawszy klucze, a ona nie ma drugiej kawy. Wtedy ów biedak, przyzwyczajony od pięćdziesięciu lat do swej kawy poobiedniej, ofiarował ją gestem Markowi, który podziękował i wyciągnął łapę po filiżankę, pomimo, że służąca zrobiła wielkie oczy.

— Czy mam przynieść drugą z kawiarni? — zapytała swego pana. — Muszę wyjść także zaraz do miasta.

— Nie trzeba, Tońciu, nie trzeba — rzekł Vasco swym głosem pełnym słodyczy. — Raczej napal tu trochę.

Służąca wzięła się do rozpalania, lecz może myślała o czem innym, bo Marek, po dwu albo trzech nieżyczliwych spojrzaniach, po dwu albo trzech niskich, gardłowych pomrukach z jej strony, rzekł do niej:

— Śpiesz-no się, moja kochana.

W tej chwili buchnął płomień a dziewczyna podniosła się od kominka, zabrała z pogardą zastawę i wyszła, trzasnąwszy drzwiami tak silnie, że Marek mruknął: Oho!

— Niechże pan słuha. Pilnuję oczywiście swych interesów, ale i ja jestem człowiekiem i nie chciałbym uciekać się do ostatecznych kroków z taką szacowną osobą, jak pan. Niech pan pomyśli, czy nie moglibyśmy załatwić tej sprawy jakoś ugodowo. Może pan ma jaki przedmiot cenny, jaki klejnot rodzinny — czy ja wiem? — coś ze srebra...

Vasco myślał czas jakiś, wsunął rękę pod przód koszuli a po chwili wyjął stamtąd srebrny medaljonik i pokazał go Markowi, poczem podniósł i rozłożył ramiona; wszystko w milczeniu.

— A obrazy?

— Mój Boże! Obrazy! Portret mojej żony. Dobry, dobry, mówię panu. Ale to własność Karoliny.

— Nie, nie, pod żadnym warunkiem nie! — zawołał Marek przerażony. — Zostawmy to. — Lecz słuchaj-no pan — podjął rozmowę po pewnej przerwie. — Mylę się, czy też miał pan jakieś stare książki, przedstawiające pewną wartość?

— Taak — odpowiedział Vasco zmienionym głosem, kręcąc się i patrząc na wszystkie strony, tylko nie w twarz swego gościa. — Tak, panie, lecz... widzi pan... wszystko poszło... sprzedane... pogryzione przez myszy...

— W takim razie... — odezwał się Marek wstając. Popatrzył dokoła, jakby chciał zobaczyć, gdzie postawił swą laskę i zatrzymał wzrok na pulpicie.

— Cóż pan takiego pięknego studjuje? — zapytał z uśmiechem.

— Och, nic — wybełkotał Vasco ogromnie zaniepokojony. — Nic! Pan szuka laski?

Marek nic nie odpowiedział; zbliżył się do pulpitu.

— O, o! Widzę tutaj, na ten przykład, starą jakąś książeczkę.

— O, nie, panie... to jest: tak, ale ta książka nie ma najmniejszej wartości albo przynajmniej bardzo małą. Jakieś stare gryzmoły i tyle.

— A jednak to Arjosto, jak widzę. Wielki poeta, ho, ho! Możliwy za niego dostać ładne pieniądze, gdyby nie był tak brudny. Co to, kapał go pan w czekoladzie?

— Rzeczywiście, brudny straszliwie — odrzekł Vasco, poweselawszy nieco. — Mój Boże, zniszczony...

Marek podniósł wzrok z nad książki i utkwił go w oczach swego nieszczęśliwego dłużnika: dwoje oczu, świecących jakąś złośliwą dobrocią.

— Jak się panu zdaje, co może być wart w takim stanie?

Vascowi serce i nogi odmówiły posłuszeństwa. Musiał usiąść.

— Czyż ja wiem — odpowiedział — czyż ja wiem? Mój Boże! Dla mnie ma wartość względną — wartość taką, jak dla miłośnika książek.

Wydawało mu się, że wybieg ten był dobry. Zmarszczki na jego czole, kąty ust drgały bezustannie. Łagodne oczy dziecka, utkwione w ogień, otwierały się i znikały wskutek drgania powiek.

— Więc dobrze — rzekł Marek. — Czy nie mówiłem panu, że jestem dobrym człowiekiem? Może robię głupstwo, ale — biorę Arjosta, idę do domu i odsyłam panu weksel.

— Pan czytał! — zawołał stłumionym głosem adwokat, zrywając się na równe nogi i przyciskając do piersi Marka drżący palec wskazujący prawej ręki. — Pan czytał! Ale tej książki pan nie zabierze, rozumie pan? Nie zabierze pan!

Jego wielka głowa trzęsła się konwulsyjnie, w oczach zabłyśły pod drgającymi powiekami dwie łzy.

— Powiem panu prawdę, panie mecenasie — odrzekł spokojnie Marek — sądziłem zawsze, że mam do czynienia z człowiekiem charakteru.

— Czyż nim nie jestem? — zawołał Vasco.

— No, nie wiem — odpowiedział notariusz — czy człowiek z charakterem starałby się oszukiwać swych wierzycieli.

Adwokat spojrział na swego przeciwnika ze zgrozą i wstrętem. Padł na krzesło. Szloch wstrząsnął kilka razy całym jego ciałem.

— Nie chciałem oszukać nikogo — odezwał się głosem cichym i nie patrząc na Marka. — Chciałem, by ta książka została tutaj aż do ostatniej chwili mojego życia. Sądziłem, że po mej śmierci i po odczytaniu mojej ostatniej woli — trochę ze względu na wartość książki, trochę ze względu na pamięć tego biednego starca, albo miasto albo obywatele, albo miasto i obywatele razem odkupią książkę od wierzycieli i w ten sposób zostanie w moim kraju ojczystym pamięć mojego imienia, pamięć owych skromnych studjów, które zdołałem poczynić. Lecz jeśli pan uważa mię za zdolnego do oszukiwania wierzycieli, proszę, oto książka, niech pan ją zabierze ze sobą.

— Ależ drogi mecenasie — zawołał Marek — czy nie rozumie pan tego, że powinien mi pan być wdzięcznym? Za książkę w takim stanie uzyskać kwotę 2500 lirów!

Po tych słowach Marek wziął książkę.

— Sługa pana, panie mecenasie — rzekł.

Vasco nie mógł wstać, ani słowa przemówić, ani wykonać ruchu. Był jak osłupiały i ruszył się z miejsca dopiero na trzecie wołanie hipopotama większego, który z łupem swoim tkwił u drzwi wchodowych.

— Cóż to znowu takiego? — mruczał, mordując na wszystkie strony klamkę. — Cóż tam u wszystkich djabłów! Mecenasie! Mecenasie! Słyszysz mię pan? Panie mecenasie!

Hipopotam mniejszy zbliżył się chwiejnym krokiem, próbował nadaremnie otworzyć drzwi, wsadził wreszcie nos do dziurki od klucza, badał. Drugi stał nad nim pochylony, ogromny, drżąc z niecierpliwości.

— Zamknięte z tamtej strony — mruknął Vasco, podnosząc się. — Dziewczyna zatrzasnęła pewnie drzwi za silnie a wtedy zdarza się tak często.

— Niech pan dzwoni — rzekł Marek.

Vasco zadzwonił raz, drugi, trzeci. Nikt się nie zjawił. Marek szarpnął tak silnie dzwonkiem, że urwał rączkę.

— Teraz koniec — westchnął adwokat.

— Niechże pan woła, krzyczy! — wrzasnął notariusz. — Biedny adwokat wrócił do drzwi, oparł o nie głowę i usiłował wołać nazewnątrz, lecz brakło mu tchu.

— Pan chce, żeby pana słyszeli! — krzyknął Marek. — Niech pan czeka!

I odłożywszy książkę, począł ryczeć swoim głosem bawolim, waląc równocześnie łagą we drzwi w prze-

rwach między jednym rykiem a drugim. Lecz pani domu w tej chwili klęczała w konfesjonale, „błogosławiąc“ swego męża — a służąca siedziała w sklepiku, przeklinając na czem świat stoi Marka.

Innego wyjścia nie było. Jedyne okno wychodziło na podwórze. Marek otworzył je, zawołał. Podwórze było puste, nikt nie odpowiadał. Notarjusz zwrócił się do adwokata dysząc:

— Jeszcze mi się w życiu coś takiego nie przydarzyło. Pan stoi i gapi się na mnie a ja muszę iść, rozumie pan? Bezwarunkowo muszę. Mam bardzo ważne sprawy.

— Niech pan zaczeka — rzekł adwokat, zatopiony w swej upornej myśli. — Proszę wybaczyć. Czy nie byłoby to możliwe, aby mi pan zostawił teraz książkę, na której umieściłbym swoje objaśnienia? I czy nie byłoby możliwe, aby pan któregoś dnia postarał się o przejście jej do naszej Biblijoteki?

— Niech mi pan nie zawraca głowy! — krzyknął Marek. — Nie dbam, do wszystkich djabłów, ani o objaśnienia ani o Biblijotekę! Niech pan sobie zatrzyma te pańskie objaśnienia. Książkę sprzedam choćby do Ameryki, jeżeli się trafi sposobność.

Gniew począł wrzeć w potężnem ciele łagodnego człowieka.

— Niechże mi pan da chociaż pięćset lirów, abym je mógł posłać synowi do Afryki.

— Co za pięćset lirów? Jakiemu znów synowi?

Rozzarty notariusz ukazał się jeszcze raz w oknie rycząc i nie słuchał Vasca, który drząc z gniewu, mówił mu prosto w plecy:

— Możem głupi człowiek, ale te drzwi to chyba Opatrzność sama zamknęła.

Chwycił Arjosta i śpiesząc na palcach z jednym okiem utkwionem w kominiek a z drugim w potworne plecy, położył książkę na ogień. Następnie wrócił, blady jak śmierć, na fotel, i przymknąwszy oczy a głowę wtył przechyliwszy, oddychał ciężko. Ktoś zadzwonił w bramie kilka razy. Marek usiłował z całych sił zawołać z okna na nieznanego przybysza, który zastawszy bramę zamkniętą a słysząc taki głos tubalny, wszedł na podwórze. Był to ten sam ksiądz, który na placu wziął Marka za Vasca. Spojrzał wgórze, zobaczył w oknie potworny łeb i dwa ramiona.

— Panie mecenasie — odezwał się, pozdrawiając. — Przynajmniej tym razem jestem pewien, że to pan, gdyż przed godziną...

— Nie widzi ksiądz — krzyknął Marek — że jestem jeszcze ciągle tym, co przed godziną? Nie rozumie jegomość tego, że nie można otworzyć? Niech ksiądz idzie poszukać pani Karoliny albo służącej i niech im ksiądz powie, żeby wracały w te pędy. I cóż jegomość tak patrzy i gębę otwiera? Niech się jegomość ruszy!

Ksiądz zdawał się nie rozumieć tego wszystkiego i spoglądając wgórze, powtarzał: Ale jak, ale jak? — Dużo czasu upłynęło, nim wreszcie zrozumiał, o co chodzi, i odszedł.

Marek stał jeszcze czas jakiś przy oknie, podszedł ku drzwiom, by podsłuchać, czy nie usłyszy jakich dobrze wróżących głosów, poczem wrócił do okna, przeklinając wszystkie sługi na świecie. Wreszcie usłyszał głosy w bramie; dwa podrażnione głosy kobiece, pani Karoliny i Tońci, które zamiast otwierać, kłóciły się ze sobą.

— Co pan zrobił z książką? — zapytał notariusz. — Gdzie książka, panie mecenasie?

Vasco otworzył oczy, podniósł jedną rękę, otworzył dłoń i rzekł uroczyście:

— Eden anto!

— Pytam, gdzie książka — powtórzył Marek.

Vasco podniósł drugą rękę i powtórzył:

— Eden anto!

— O, ja nie żartuję, mój panie! — krzyknął Marek i rzuciwszy okiem po całej izbie a nie znalazłszy żadnej książki, stanął koło adwokata z zaciśniętymi zębami.

— Nie róbmy komedyj — syknął. — Dawaj pan Arjosta, prędzej!

— Pan — odpowiedział Vasco — chciałby mieć taką książkę a nie umie pan po grecku? Pan chciałby mieć feniksa Tycjana? Eden anto, panie; spłonął, spłonął z kwiatem.

Zwrócił wskazujący palec ku ogniewi i kończył:

— Niech pan patrzy. Zobaczy pan popioły.

Marek wydał okrzyk stłumiony i podniósłszy w górę ręce podszedł do kominka a obróciwszy się

nagle ku Vascowi, zrobił dwa kroki w jego stronę z laską w powietrzu. Zatrzymał się, wydał głuchy ryk, potrząsając groźnie ramionami, pocwałował, by uderzyć w drzwi jak taranem a rozbiwszy jednym uderzeniem zamek, przeszedł między panią Karoliną a służącą i rzucał się na dół po schodach. Obie kobiety wpadły do pracowni.

— Co się stało? — zapytała pani Vascowa.

— To się stało — odparł mąż, drżąc ze wzruszenia — że chciał mi ukraść a ja go zmusiłem do ucieczki.

— Ukraść? Co takiego? A to łotr skończony!

— Och, nic — odrzekł biedny pan Jasieczek, nie patrząc na swą połowicę i trzęsąc się cały w spazmach wymuszonego uśmiechu. — Książkę.

— Książkę? Ty masz jaką książkę wartościową, ty?

— No, no — odparł Vasco, zaczynając ciężko dyszeć nanowo. — Drobnostka. Paręset lirów... może sto... może najwyżej sto... może ostatecznie pięćdziesiąt, do stu lirów.

— Och, ty wstrętny tabaczarzu! — zawołała żona. — Masz taką książkę a nie powiesz ani słowa i pozwalasz, aby twoja żona i twój syn znosili biedę? Dawaj tu zaraz tę książkę!

Adwokat pobladł z przerażenia, nie rzekł nic.

— Tyś jemu dał może, co? — odezwała się straszonym głosem żona, patrząc okropnie na męża.

— Nie, nie — odrzekł Vasco szybko. — Nic mu nie dałem. Jednak, jeśli jej nie dam tamtemu, trzeba

będzie dać ją komu innemu, ponieważ cały nasz majątek jest dziś w ręku wierzycieli.

Pani Karolina nie byłaby nigdy myślała, iżby głupota ludzka była tak bezdenna i spoglądała na swego męża wzrokiem nie dającym się opisać, w milczeniu. Wreszcie wybuchnęła obelgami, piorunując na całe swe otoczenie, na głupotę „wańtucha“, na pożycie małżeńskie, na służącą, która stanęła w obronie pana. Kazała jej wreszcie się wynosić a ponieważ tamta nie chciała usłuchać rozkazu, chwyciła ją za rękę i pociągnęła ku drzwiom. W ten sposób wyszły, krzycząc obydwie, do przedpokóju.

Vasco, ogłuszony pierwszymi ciosami, nie słyszał nic. Po pewnym czasie spostrzegł się, że zostawiły go samego, poznał na pulpicie swoją ostatnią wolę i płakał powoli najgorętszemi, najbardziej gorzkimi łzami swego życia: łzami, płynącemi z nietkniętej niemal dotychczas głębi, do której wreszcie ból dotarł.

Tymczasem słońce pochyliło się ku zachodowi, pracownię począł zalegać mrok. Nadeszła pora obiadu, lecz nikt go nań nie wołał, ani on sam o tem nie myślał. Trzęsło go zimno, więc zwłókł się z trudnością z krzesła, aby zamknąć okno, i usiadł następnie naprzeciw kominka, gdzie tlił się żar jeszcze, śląc ciepło ku jego nogom i rzucając blask słaby na przód koszuli i na czoło. Głowa robiła mu się ociężała, myśli mętniały, lecz jakiś nieznaną spokój wstępował mu w duszę. Czuł się lepiej, a odpoczywając, zatapiał się w mglistej idei jakiegoś dobrego sąsiada.

Ktoś zapukał do drzwi a nie słysząc odpowiedzi, otworzył je cichutko z trwożliwem: czy wolno?

Vasco się nie ruszył.

— Czy wolno, panie mecenasie? — powtórzył wchodząc ów ksiądz, który już tak długo polował na niego. Sądził, że Vasco, którego niejasne zarysy widział przed sobą, zdrzemnął się.

— Jestem ksiądz Klemens — rzekł cicho.

Wtedy nareszcie adwokat szepnął: Sługa księdza — i ruszył się nieco, próbując w swej potulności wrodzonej się podnieść.

— Niech-no pan tylko siedzi — pośpieszył z odpowiedzią ksiądz Klemens. — Usiadł koło niego, powiedział parę ogólników na temat zimna, wilgoci, przyjemności kominka i zmroku. Vasco nie odzywał się słówkiem.

— Pozwoliłem sobie trudzić pana — rzekł wreszcie ksiądz — ponieważ mam do zakomunikowania panu pewną rzecz o tej osławionej rycinie tytułowej. Pan sobie przypomina, że kiedy miałem zaszczyt zawrzeć znajomość z panem mówiliśmy o jednym starem wydaniu Arjosta?

— Eden anto — wyszeptał Vasco. — Tak.

— Właśnie, eden anto. Albo, właściwie... pan czytał *eden anto* a także opat Bottoni z Ferrary tak czytał, ale to błąd.

— Nie, księżę — ozwał się cichym głosem Vasco.

— Niech pan wybaczy, tu niema żadnych wątpliwości. Nie może być żadnych wątpliwości. Dostałem

właśnie list z Rzymu. Rzecz ta jest dzisiaj powszechnie znana. Widzi pan, litery się zatarły i dlatego mogą wprowadzić w błąd. Czytać należy: F. DE NANTO, skrót zamiast: *Franciszek de Nanto ze Sabaudji*, co jest nazwiskiem rytownika, ponieważ Tycjan sporządził tylko rysunek. Taką samą rycinę tytułową ma rzymskie wydanie listów kardynała Bessarjona³⁰ przeciw Turkom.

Vasco milczał.

— Zapalmy światło — dodał ksiądz niepewnym głosem. — Jeżeli pan ma szkło powiększające... możemy zobaczyć...

— Nie, księżę — wybełkotał Vasco.

Gość nie śmiał dłużej nalegać, będąc przekonany, że starowina jest pod wpływem neodpartej senności. Zatrzymał się jeszcze czas jakiś w milczeniu, wreszcie z ciężkiego oddechu starca wywnioskował, iż tenże zasnął; wyszedł więc poomacku, stąpając na palcach. Biedny Vasco gotował się istotnie do snu niezmożonego. W kilka minut później silniejszy żar bez płomienia, który od czasu do czasu ślizgał się jeszcze po czarnych resztkach tomu, rozjaśnił jego zmienioną, smutną i łagodną twarz dziecka.

Umarł w ciągu nocy.

S. FARINA.

MÓJ SYN SIĘ UCZY.

Pewnego dnia — bardzo nieszczęśliwego dnia — Gucio powrócił ze szkoły smutny, bardzo smutny. Zaczynała się nauka łaciny. O ile można było sądzić, jemu i jego kolegom z ławy szkolnej pozostawała niewielka nadzieja, że żywot płynąć im będzie w zgodzie z odmianami na *us* i *es*, z nauką o słowie i o zaimkach. Już w liczbie mnogiej pierwszej odmiany, gdy *musa* zmieniało się na *musarum*, rzecz zaczynała być niepoznawalną...

I pocóż — powiadał — uczyć się łaciny, skoro to język martwy?

Wyjaśniłem mu, że łacina jest naszym językiem macierzystym, tj. językiem Cycerona³¹, który jest ojcem wielkich adwokatów, językiem Wergiljusza, który jest ojcem Dantego, językiem Horacjusza, który jest ojcem zdrowej satyry itd. itd.

I dodawałem z powagą:

— Gdy ty będziesz adwokatem, będziesz musiał znać łacinę, aby zrozumieć starożytny kodeksy; wiedza

starożytna spisana jest w języku łacińskim; prawie wszystkie cytaty, któremi popiera się dowody słabe i chromające, są łacińskie.

Syn słuchał mię z otwartymi ustami, niewiele rozumiejąc, lecz z rosnącym przerażeniem.

— W takim razie musi to być bardzo trudny język — wzdychał.

— Nie — odparłem — jest bardzo łatwy. Z początku wydaje się takim, lecz potem jest to fraszka.

— Czy tatuś uczył się go także?

— Jeszcze jak!

— Czy tatuś nauczył się całego?

— Całego.

— Także czasowników? Także *hic, haec, hoc*? Także *dies, diei*?³²

To naleganie mego syna miało jakiś cel ukryty. Nieraz już ze swą świeżo „wykutą“ geometrią albo ze swoją historią, której nauczył się dnia poprzedniego, przyłapał mię na brakach w zakresie mej wiedzy — więc teraz gotowałem się do odwetu.

— Uczyłem się go przez ośm lat — odpowiedziałem z pewnością siebie — i nie żałuję tego; gdy ty będziesz się go uczył także ośm lat...

Gucio mi przerwał:

— W takim razie, tatusiu, jeśli ci ktoś da książkę pisaną po łacinie, czy ty wszystko rozumiesz?

Łapka była bardzo niebezpieczna.

— Gdy ty będziesz się go uczył także ośm lat — ciągnąłem bez drgnienia powiek — będziesz umiał tyle,

co ja; lecz nie powinieneś się zniechęcać z początku; trzeba się nauczyć odmian a potem rządu słów.

— Rządu słów?... — bełkotał Gucio.

I w twarzy jego odmalowała się niezmierną trwoga na myśl, że nie oprze się nigdy natarciu podobnego przeciwnika.

— Rząd słów — dodałem śmiejąc się — nie jest rządem w tem znaczeniu, jak ty to rozumiesz³³.

Wyjaśniłem mu zgrubsza, jak ja ten wyraz rozumiałem, lecz nie uspokoiłem go tem wcale.

Sprawa szła coraz gorzej. Syn mój nie mógł się żadnym sposobem przyzwyczaić do uczenia się łaciny z pomocą odrobiny bodaj metody.

— Reguły, reguły — mawiał z przekorą filuta — nie wiem, co mam z niemi zrobić, z temi regułami. Do czego służą właściwie reguły? Któż to taki układał reguły języka łacińskiego?

— Układali je gramatycy — odpowiadałem z największym spokojem — układali je, studując pisarzy klasycznych, ducha języka łacińskiego...

— A czemuż nie ułożyli ich także dla medjolańskiego?

— Bo medjolański nie jest językiem, lecz narzeczem...

Gucio stał czas jakiś zatopiony w swych myślach; zdawał się znajdować w swym mózgu przekonywający dowód.

— Tak... medjolański jest o wiele łatwiejszy. Ryśka bez deklinacyj i konjugacyj mówiła doskonale po medjolańsku w trzecim roku życia... a do nauczania się łaciny trzeba ośmiu lat.

Wymknęły mi się nieopatrznie słowa :

— A i to nie wystarczy — lecz pożałowałem w tej chwili tego, co powiedziałem, i dodałem z największą powagą: potem trzeba się ćwiczyć przez całe życie.

— Czy tatuś ćwiczył się całe życie? — zapytał mnie całkiem niespodziewanie Guccio. — Czy tatuś nie robi już żadnych błędów w łacinie?

Tu nie było wyjścia; aby ratować powagę ojcowską i nie skłamać, musiałem odpowiedzieć po łacinie:

— *Errare humanum est; homo sum et nihil humani a me alienum puto*³⁴.

Guccio popatrzył najpierw z zaciekawieniem na mnie, następnie wzruszył ramionami i odszedł mrucząc: *Nominativus: domus, dom; genetivus: domus, domu; dativus: domui, domowi...*³⁵

Henrysia, która słuchała od godziny, jak brat rozmawiał ze sobą w tym dziwnym języku, w pewnej chwili nabrała przekonania, że rozumie już, o co chodzi, i odezwała się do mnie z miną triumfującą:

— Tatusiu, ja rozumiem to, co mówi Guccio.

— Doprawdy? I cóż takiego on mówi?

— Mówi, że katedra jest większa od domu³⁶.

— I może ma słuszność...

Owszem, Henrysia przyznawała mu najzupełniejszą słuszność, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego trzeba to powtarzać tyle razy. I ona chodziła do katedry i widziała dobrze, że jest wielka; lecz co ją tam najbardziej uderzyło, to obraz, na którym była wymal-

wana M. Boska ze złożonemi rękami, otoczona rojem przzerwanych aniołków.

Nie mogłem przez chwilę domyślić się, o co jej chodzi. Wreszcie zrozumiałem. Te „przerwane aniołki“ mej córki były to uskrzydłone główki.

Gucio, słysząc mój śmiech, powtarzał z zaciętością swoją deklinację: *Singularis nominativus: domus, dom...*³⁷

Głos jego przechodził różne stopnie — był naprzemian miękki, to znów szyderyczy, by stać się hardym przy pierwszej przeszkodzie i wrócić znów do zaciętości.

„Wykuwana“ w ten sposób zaciniała się także trzecia deklinacja i nie chciała iść do głowy.

— Przestań — rzekłem do niego — idź się bawić, pobiegaj sobie; teraz uczysz się zupełnie nadaremnie, ponieważ myślisz o czem innem.

Zamilknął; znak, żem odgadł.

— O czem myślałeś, ucząc się?

— Myślałem, że Ryśka umie nietylko po medjołańsku, lecz także po włosku, choć nigdy nie chodziła do szkoły; myślałem, że właściwie szkoła...

— No, cóż szkoła? — zapytałem, skupiając w jednym pytaniu całą surowość powagi ojcowskiej.

Nie chciał dokończyć swej myśli, lecz zrozumiałem, że on zaczyna myśleć o tem, o czem w tym samym wieku myślałem ja, nie chcąc jednak do tego przyznać się nikomu w domu.

E. DE AMICIS.

STARY NAUCZYCIEL.

Inspektor zaprosił młodzieńca, aby mu towarzyszył w czasie wizytacji klasy, którą prowadził kolega szkolny inspektora. Do towarzystwa przyłączył się również burmistrz.

Stary nauczyciel, flegmatyk o tęgiej tuszy, nie okazał najmniejszego zmieszania na widok „władzy“. Gładził tylko spokojnie prawą ręką swe białe włosy, które grzebień widywały chyba raz do roku. Dożył już tego wieku, doszedł do tego stopnia zobojętnienia, że nie spodziewając się w życiu więcej niczego i od nikogo, nie byłby dał się zachwiać w swej równowadze nawet wtedy, gdyby w szkole zjawił się minister oświecenia w swej własnej osobie.

Inspektor zdawał się być zdziwionym nadzwyczajną powolnością, z jaką starzec odpowiadał na zadawane pytania. Sam pomagał mu w wyszukiwaniu na stoliku różnych registrów i druków, których rady musiał gospodarz klasy zasięgać w celu dania odpowiedzi. Znalazłszy jaki foljał, potrzebował minuty czasu na

otwarcie go, dwóch minut na znalezienie cyfry, której szukał.

Burmistrz niecierpliwił się za inspektora. Ten zaczął czytać kilku uczniom. Czytali, robiąc zbyt długie przerwy. Wymowa była pozałowania godna. Spróbował zadawać im pytania. Odpowiadali w taki sam sposób. Zdawało się, iż dziatwie udzieliła się starość nauczyciela: nie okazywali ni zapału ni życia. Podczas gdy dzieciak szukał najwygodniej w świecie odpowiedzi, nauczyciel czekał cierpliwie, nie przerywając mu, patrząc nań pół-przymkniętymi oczyma... Inspektor się zzywał.

— No, dobrze — rzekł wreszcie, dysząc — lecz... widzi pan... trzebaby brać rzecz z większą nieco energią... wlać nieco życia w szkołę.

Nauczyciel popatrzył nań z ponad szkieł, spokojnie, jakgdyby go chciał zapytać: Skądże ja mam brać to wszystko, panie inspektorze?...

Inspektor zadawał inne pytania, poprawiał błędy w wymowie. Minę miał niezadowoloną; zdawało się, że chce uczynić jakiś gorzki zarzut i — może dlatego, aby tego nie uczynić — rozpoczął suche, przepisowe pytania.

— Ile lat służby?

— Czterdzieści ośm — brzmiała odpowiedź.

— Otrzymawał pan zapomogi?

— Jedną. Stodziesięć lirów³⁸.

— W czasie całej służby?

Skinienie głowy.

— Aa... ileżby wyniosła dzisiaj wysokość emerytury?

— Dwanaście lirów na miesiąc.

Nastąpiło krótkie milczenie. Pozostawało ostatnie pytanie.

— Czy ma pan jakie życzenie?

Nauczyciel odrzekł z największym spokojem:

— Żadnego.

Inspektor popatrzył nań i cały jego gniew zmalął do zera.

SZLACHETNY RYS.

Gdym wchodził do klasy, nauczyciela jeszcze nie było a trzech lub czterech uczniów dokuczało niemiłosiernie Crossiemu, owemu chłopczynie o ryżych włosach i sparaliżowanej ręce, którego matka sprzedaje jarzyny. Zadawali mu pchnięcia linjami, rzucali mu w twarz łupiny kasztanów, przezywali go kaleką i potworem, i naśladowali jego ramię, które stale trzymał pod brodą. A on, sam jeden w ostatniej ławce, wybladły, słuchał tego wszystkiego, spoglądając kolejno na swoich kolegów błagalnym wzrokiem, by go zostawili w spokoju. Tamci jednak szydzili z niego coraz więcej. Biedak zaczął drzeć i czerwieniec z gniewu. W pewnej chwili Franti, ta dusza niegodziwa, wyskoczył na ławkę i udając, że niesie pod ramionami dwa kosze, naśladował matkę Crossiego, jak wyczekiwała syna pod szkołą. Większość kolegów wybuchnęła głośnym śmiechem. Wtedy Crossi stracił panowanie nad sobą i chwyciwszy kałamarz, rzucił nim z całej siły w głowę Frantiego; Franti wszelako schyliwszy się, uniknął ciosu a kałamarz

trafił w pierś wchodzącego właśnie nauczyciela. Wszyscy pobiegli na swoje miejsca i umilkli z trwogi.

Nauczyciel, blady, wstąpił na stopień katedry i głosem zmienionym zapytał:

— Kto to zrobił?

Nikt nie odpowiedział.

Nauczyciel krzyknął drugi raz podniesionym głosem:

— Kto to zrobił?

Wtedy Garrone, zdjęty litością ku biednemu Crossiemu, zerwał się z ławki i rzekł śmiało:

— To ja.

Nauczyciel spojrzał na niego, spojrzał na zdumionych uczniów, poczem rzekł spokojnie:

— To nie ty.

A po chwili:

— Winowajca nie będzie karany. Niech wstanie!

Crossi powstał i rzekł z płaczem:

— Oni mnie bili i zaczepiali, nie wiedziałem, co robię, rzuciłem...

— Siadaj — rzekł nauczyciel. — Niech wstaną ci, którzy go doprowadzili do tego.

Wstało czterech z pochylonemi głowami.

— Wyście — rzekł nauczyciel — zaczepiali kolegę, który wam nie dawał powodu do zaczepki; wyśmiewaliście nieszczęśliwego, biliście kalekę, który nie może się bronić. Popełniliście jedną z najniższych, naj-sromotniejszych rzeczy, jakimi może się splamić dusza ludzka. Tchórze!

Po tych słowach zeszedł ze stopnia, poszedł między ławki, ujął za podbródek Garrona, który stał ze spuszczonei oczyma, podniósł mu głowę i rzekł:

— Ty jesteś szlachetną istotą.

Garrone skorzystał ze sposobności, szepnął coś do ucha nauczycielowi a ten, zwróciwszy się do czterech winowajców, rzekł szorstkim głosem:

— Przebaczam wam!

CHŁOP HOLENDERSKI.

Na małej stacyjce, leżącej w połowie drogi między Leuwarden a Groningen, stolicy prowincji tej samej nazwy, wsiadł do wagonu człowiek, który na pierwszy rzut oka wydał mi się i był w rzeczywistości wieśniakiem, blondyn, o tęgiej tuszy, odziany nadzwyczaj czysto. Spojrzał na mnie życzliwym okiem i usiadł naprzeciw. Pociąg ruszył. Przypatrywałem się w dalszym ciągu okolicy, w nadziei ujżenia jakiejś zmiany w krajobrazie, a nie widząc nic, jak tylko same płaszczyny i płaszczyny, wykonałem bezwiednie ruch, oznaczający znudzenie. Wieśniak spoglądał pewien czas jużto na mnie, jużto na okolicę; następnie uśmiechnął się i wymawiając z wielkim wysiłkiem poszczególne wyrazy, rzekł do mnie po francusku:

— Nudne... nieprawda?

Odpowiedziałem mu natychmiast, że nie, że nie nudzę się wcale, że przeciwnie, krajobraz holenderski podoba mi się.

— O, nie... — podjął na nowo z uśmiechem — nudne; same równiny — i wykonywał odpowiednie ruchy obu rękami — niema gór.

Po chwili, zajęty widocznie przetłumaczeniem w myśli tego, co chciał powiedzieć, zapytał mię:

— Z jakiego kraju?

— Z Włoch — odpowiedziałem.

— Z Włoch — powtórzył z uśmiechem. — Czy tam jest dużo gór?

— Bardzo dużo — odpowiedziałem. — Tyle, że możnaby niemi pokryć całą Holandję.

— Ja — dodał, kiwając głową — nie widziałem gór w swem życiu; nawet pagórków Geldrji.

Wieśniak, który mówił po francusku, już był dla mnie czemś niezwykłym, ale człowiek, który nie widział nigdy gór ani pagórków, wydawał mi się jakąś bajeczną istotą.

Lecz on miał mnie wprawić w zdumienie jeszcze większe.

Po pewnym czasie zapytał na nowo:

— Z Włoch?

— Z Włoch — odpowiedziałem.

Myślał czas jakiś, potem rzekł:

— Zostało odrzucone prawo o przymusowem nauczaniu, nieprawda?

— Do kroćset! — pomyślałem — założę się, że on jest abonentem naszego Dziennika Urzędowego. — Istotnie bowiem parę dni przedtem parlament odrzucił projekt ustawy o przymusowem nauczaniu.

Odpowiedziałem mu w kilku słowach, co sam wiedziałem.

Uśmiechnął się po chwili, szukał prawdopodobnie jakiegoś zwrotu i zapytał wreszcie:

— A Garibaldi ciągle...³⁹ — tu uczynił ruch kopania motyką — poczem dodał: swoją wysepkę?

Coraz lepiej! — Tak, ciągle — odpowiedziałem, robiąc wielkie oczy i z trudnością tłumacząc sobie, że siedzi przede mną chłop, aczkolwiek rzecz ta nie mogła ulegać wątpliwości.

Siedział chwilę w milczeniu, poczem rzekł:

— Wyście (tu zwrócił wskazujący palec w kierunku mych piersi) stracili wielkiego poetę.

Na te słowa, zgoła niespodziane, omal nie zerwałem się z miejsca.

— Tak, Aleksandra Manzonię — odpowiedziałem — lecz skądże do licha wiecie o tem wszystkim?

On tu wnet, pomyślałem sobie, poruszy sprawę jedności języka⁴⁰.

— Ale powiedzcie mi z łaski swojej — zapytałem — czy znacie przypadkiem język włoski?

— Nie, nie — odpowiedział, potrząsając głową i śmiejąc się. — Ani jednego słoweczka.

Po tych słowach uśmiechał się dalej i szperał w swych myślach, a mnie się zdawało, że gotuje mi nową niespodziankę. Tymczasem pociąg dojechał do Groningen. Gdyśmy zajeżdżali pod halę stacyjną, ów pocziwiec wziął swoje zawiniątko, spojrzął na mnie znowu z uśmiechem i podkreślając zgłoski ruchem palca wskazującego ręki prawej, odezwał się do mnie po

włosku z akcentem niemożliwym do powtórzenia i z miną człowieka, który ma objawić rzecz wielką:

— W połowie!

— W połowie? — zapytałem zdziwiony. — W połowie czego?

— Z pro-ste-go to-ru w na-szych dni po-ło-wie — powiedział, czyniąc wielkie wysiłki i wyskakując z wagonu.

— Chwileczkę! — zawołałem za nim. — Słuchajcie! Jedno słówko! Jakże to...

Zniknął.

* * *

Rozumiecie teraz, jaka rasa chłopów żyje w Holandji? A mogę wam przysiąc, że w tem opowiadaniu nie dodałem od siebie ani jednego słóweczka!...

KADYKS.

Kadyks robi wrażenie miasta z gipsu. Jest to wielka, biała plama pośrodku morza, na której daremnie szukałbyś części ciemniejszej, jakiegoś czarnego punktu lub śladu cienia; plama biała i gładka, czyściutka jak świeżo spadłym śniegiem pokryty pagórek, który odrzyna się od nieba barwy berylu i turkusa pośród rozległej, wodą zalanej równiny. Długi a wąziutki pasek ziemi łączy tę plamę z lądem; zresztą ze wszystkich stron oblewa ją morze, jak statek w chwili rozwinięcia żagli, którego nic już prócz łańcucha z wybrzeżem nie łączy.

Kadyks jest miastem najbielszem na świecie i nie na wiele się przyda zrobienie mi zarzutu, że nie znam wszystkich miast na świecie, ponieważ mam to najgłębsze przekonanie, że nie może istnieć drugie na świecie miasto bielsze nad to, które jest bezwzględnie i najzupełniej białe. Kordowa i Sewilla nie mogą się równać z Kadyksem: tamte są białe jak papier, Kadyks jest biały jak mleko. Aby dać wyobrażenie o tem, najlepiej

pisać tysiąc razy za porządkiem słowo „biały“ ołówkiem białym na papierze niebieskim i zaznaczyć na boku: „Wrażenia z Kadyksu“. Bo Kadyks jest jednym z najbardziej zadziwiających i najpowabniejszych kapryśków ludzkich. Białe są nie tylko zewnętrzne mury domów; białe są schody, białe podwórza, białe są ściany sklepów, białe są przymurki, białe słupy, białe są najdalsze i najciemniejsze zakamarki najuboższych domków i najodleglejszych uliczek; białe są wszystkie rzeczy, począwszy od łóżek a skończywszy na piwnicach — wszystko, gdzie tylko sięgnąć może koniec pendzla, nawet dziury, nawet szczeliny, nawet gniazda ptasie. W każdym domu znajduje się skład wapna i białej farby, i za każdym razem, ilekroć badawcze oko gospodarza odkryje gdzie jaką plamkę, chwyta się za pendzel i usuwa ją. Rodziny nie przyjmują służby, nie umiejącej bielić. Pociągnięcie węglem po murze jest skandalem, zamachem na spokój publiczny, objawem wandalizmu. Możecie chodzić po całym mieście, zaglądać we wszystkie drzwi, we wszystkie zakamarki — nie znajdziecie nic, jak tylko wszędzie białe, białe i wiecznie białe. Z tem wszystkim Kadyks nie jest nawet w przybliżeniu podobny do innych miast andaluzyjskich. Ulice jego są długie i proste, a domy wysokie. Jednak obraz miasta nie traci nic na niezwykłości i wdzięku dla oka przybysza. Ulice są proste lecz wąskie, a ponieważ są także bardzo długie i wiele z nich przecina całe miasto, przeto widzi się tam, w końcu, jakby przez szparę we drzwiach, subtelną

listewkę nieba, która robi wrażenie, jakby miasto zbudowane zostało na szczycie opadającej ze wszech stron prostopadle góry. Nadto domy mają wielką liczbę okien a każde z nich jest zaopatrzone, jak w Burgos, rodzajem wystawki, która opiera się na dolnej ramie okien a podtrzymuje górną tak, że na wielu ulicach domy są pokryte zupełnie szkłem, widzi się zaledwie kawałeczek muru i zdaje się, że wchodzimy w korytarz olbrzymiego muzeum. Tu i ówdzie, między jednym domem a drugim, strzelają ku niebu gibkie gałęzie palmy; na każdym placu znajdziesz bujne nagromadzenie zieleni, na każdym oknie kwiaty i bukiety. Mając listy polecające do konsula włoskiego, udałem się tam i zostałem uprzejmie zaprowadzony przezeń na szczyt pewnej wieży, skąd mogłem jednym rzutem oka objąć całe miasto. Nowy i żywy cud! Kadyks, widziany z góry, jest biały, najdokładniej i najczyściej biały, tak, jak się przedstawia przybywającemu od strony morza: w całym mieście niema jednego dachu; każdy dom kończy się u góry terasą, otoczoną białą balustradą; prawie nad każdą terasą wznosi się wieżyczka, również biała, wystrzelająca w górę z drugiej terasy, kopułki lub rodzaju strażniczego domku: wszystko białe. A te wszystkie kopułki, te iglice wież, te balustrady, które nadają tak bogate i fantastyczne obramowanie miastu, występują jeszcze bardziej biało na tle żywego lazuru morza. Wzrok przebiega cały przesmyk, łączący Kadyks z lądem, obejmuje długi szmat dalekiego wybrzeża, na którym bieleją

miasta: Puerto Real i Puerto Santa Maria, tudzież wsi, kościoły i wille — błądzi po porcie i po oceanie, i po najpiękniejszym niebie, które współzawodniczy z morzem pod względem czystości i blasku.

I. NIERI.

GŁUPI BARTEK.

(W gwarze podhalańskiej).

Roz, co sie nie robi, wybroł sie Świnty Pieter z Poniezusem hodzić po świecie. Zašli ku Bartkowej hałupie. — Zburzyli na dźwierzak⁴¹ — stanon w oknie Bartek.

— Wtoz ta ?

— Tu som jest Poniezus i jo — Świnty Pieter.

Uhylił Bartek dźwierzzy, doł im pojeść i puścił na łózko.

Lémze⁴² namiéniało na świtanie⁴³, Poniezus wstoł, wybiéro sie w dalsom dróge. Pado Świnty Pieter:

— Poboškajze⁴⁴ go Bartek po rencak, pytoj⁴⁵ o zbawienie dusy, dy to nos pon.

Gwarzi Bartek:

— Panie Jezu Kryste, dejze mi tén łaske, zeby kazdy, co se mnom groć bendzie, sićko przegroł.

— Niegze sie stanie według słowa twego.

Świnty Pieter kie usłisy, ze Bartek pyto o takom wej głupote, prziganio mu:

— Ty huncfucie jeden, o cożeś to takie pytoł? Hyboj⁴⁶ i pytoj o co ine. Jesce mos cos.

Wraco Bartek do Poniezusa.

— Panie Jezu Kryste, dejze mi tén łaske, zeby kazdy, co siendzie w tym wej kąncie u watry⁴⁷, nimóg sie dźwignąć więcyl.

— Niegze sie stanie według słowa twego.

Świenty Pieter słisy, ze Bartek zaś znowa pyto o drugom wej głupote — prawi:

— Ty psiarczyku jeden, ty weredo⁴⁸, hyboj wartko i pytoj o insom rzec. Jesce cos!

Wraco Bartek do nasego Pana.

— Panie Jezu! Mom w ogródku takom wej wiśnie: kto na niom wylezie, niegze sńiej nie zlezie, pokiela⁴⁹ jo som nie zekcem.

— Niegze sie stanie według słowa twego.

Poniezus i Świenty Pieter pošli prec. Hodzujom po świecie. Dobrze niebarzo, na drugi dzień zaseł ku Bartkowej hałupie djasek, zburzył na dźwiérzak.

— No, Bartek, cos na cie. Hyboj!

— Pohipkojze⁵⁰ krapecke!

— Nie! Niebeem tącćel. Bier sie, nie onac⁵¹!

— Hipkoj, hipkoj! Wartko przijńdem.

Co miół zrobić tén djaboł? Hipko.

— Podź do nuka⁵² — gwarzi Bartek — bo zimo na polu. Siejdze haw kolwicek⁵³ u watry; ozgrzejemé sie a potę w drógę.

Siod djaboł w kąncie. Bartek, co fure sajt⁵⁴ miol nagotowionom, nałożył wieldzażnom watre. Fce djaboł wstoć: nimoze. Pado:

— Dosyć tego goranca, Bartek. Nimogem juz dłużej wytrwać.

— Słuhaj, te, piekielna osobo. Jak mi nie dos sej sto roków ziwobycia, bees tak długo hawok⁵⁵ siedział, jako jo bedem fciol.

Coz miol tén djaboł zrobić? Nie bėło rady ni-jakiej. Ustompił.

W bajkach lata biegnom wartko, haj. Przesło tyk sej sto roków. Wraco djaboł do Bartka, pado:

— Bartek! Juzek haw! Ale tém raze nie onac, ba hyboj! Niebeem ci więcyl hipkoł!

— Nie, nie — powiadio djabłowi Bartek. Dobrze, coś haw. Pockojze kwilecke, wartko wyjńdem ku tobie.

I gdy jus bėł na polu, gwarzi:

— Wis wej, djable? Jo stary — toz to i tak beem musiol na Pęksowy brzyzek⁵⁶. Kiebyś taki dobry bėł a wyloz na to hań⁵⁷ drzewo i prziniós mi dwie wisienki, cobyk se pojad na dróge. Jo ta jus nimoge wylazować na drzewa pokrony⁵⁸ starości.

— Ty to wse musis onacyć! Hyboj wartko, hyboj!

— Wyleż, wyleż! Jednom minutke warcėj, jednom minutke późniėj...

Wyloz tén djaboł na drzewo i zerwał dwie wiśnie. Pado do Bartka:

— Fces więcyl?

— Nie! Nie pytom. Złazze wartko!

Fce djaboł zleźć: nimoze.

— A toś ty mie, Bartek, do imentu wyonacéł⁵⁹!
Ale to ta jus jacy⁶⁰ tén roz ci sie tak udało!

— Co beem długo radziéł⁶¹? Dos mi jesce sej sto lot?

Ozeźlił⁶² sie djaboł, ale musioł ustompić.

Minéno sej sto rók, wraco do Bartka. Pado Bartek:

— Usiądze, djable, zagramé se w karty przede śmier-zciom.

Grajom, grajom, jaze wygroł Bartek prawie sićkie duse, co ig ta djaboł mioł w piekle. Ozpajedził⁶³ sie na samego siebie:

— Bier-ze sie djable tustela⁶⁴! Jus nie fcem śnim nijakiego jinterasu. Zasełek haw zabrać jego duse a on mi wej zabiéro sićkie, co ig ta mom w piekle!

I potę, hip djasek ku oknu — wyjahał w pole. Ino migło. Uciók.

Został Bartek som z temi wej dusami.

— Coz jo tu potę bede śnimi robiéł? Nie fce mie djaboł i nie fce mie Poniezus. Cegozek go nie pytoł o zbawienie dusy?...

Zaseł do Świentego Pietra, burzy na dźwiérzak do raj. Nie uhylił mu Świenty Pieter. Zaseł ku djabłowi. Djaboł otwiéro dźwiérze.

— Haweś? Hyboj mi tustela! Jo cie puscem do nuka — wiera! — a ty mi wej zabieres jesce tyk pare dus, co ik mom? Ty, študer⁶⁵, idź ka inéndyj!...

Wrócił się Bartek do raju, prawi do Świętego Pietra:

— Kieście wy zašli ku mnie, nie odegnałek was ode dźwierz...

I tak wej dostał się Bartek do raju s temi sićkiemi dusami i siedzi se hań rod i będzie siedzioł, jak go Poniezus nie wygno...

MARZEC I JUHAS.

(W gwarze podhalańskiej).

Béł roz w Apeninak taki wej juhas⁶⁶. Jakosi miało sie ku zwieśnie. Biere tén juhas owce, barany, co ta béło — hyboj w pole! Kajsi ta pó drodze stretnon sie⁶⁷ z Marcem. Pyto sie Marzec juhasa:

— Dobre rano, chłopce. Kaz idzies z temi wej owcami?

— Ku halom.

— Zje⁶⁸ to pięknie cynis. Boze cie prowadz!

A dó sobie przepedzioł pocihućku:

— Jo cie tu wryktuje pomału, ize mie popamientos.

I dobrze niebarzo, tego dnia w holak⁶⁹ prało tak, co ludzie na świecie!...

Ej wiera! Nos juhas dobrze sie uszripatrzowół do Marca. Jakosi nie zwidzioł⁷⁰ mu sie Marzec, toz to ino mu tak bez śpas ududkował⁷¹, co idzie ku halom, a zrobiół całke inacěj, jako pedzioł.

Na odwiecerz wraco juhas ze statkiem dó domu. Juści zastompił mu Marzec:

— No, hłopce. Jakoz hań béło 'dzisiok w tyk holak?

— Kfała Panu Bogu nowysemu. Piéknie. Ale jek nie béł w holak, ino w dolinak. Strańnie piéknny béł dzionek. A słonko to telo mocno hań świeciło, co sie widziało, sićko cysto piéknie spoli.

— Tak to wej? Rod slišem (a tem case ugryz sie we warge). — Jesce mu przed odhodnem pedziół:

— A kaz pudzies jutro?

— Jutro pudem ku dolinom. Je kisby⁷² to djasi béli, aj béli, cobyk jo béł telo głupi i hań nie poseł!

— Zje to bars piéknie cynis. Ostońże z Pane Boge.

Ozdzielili sie. Ba coz, ten juhas to béł wej głobiś⁷³! On ta nie poseł ku dolinom, ino jacy ku halom. Mądry béł, haj.

Tem case Marzec spuścił na doliny takom wielgom lejbe⁷⁴ i taki wiater morowy i telo sielił⁷⁵ gradem, co sie widziało, ze jak tak pudzie dluzěj, to zabiere cysto do krzty świat cały.

Ku wiecorowi zešli sie na ceście⁷⁶ z pasterzem:

— Dobry wiecór, hłopce. Jakoz ci ta przesło dzisiok?

— Dzienkować Poniezusowi, dobrze. Wis wej? Byłek w holak. Pogoda béła, co cud. Kiebyś ty béł uwidziół, jakie hań słonko, jakie ciste niebo!

— Strańnie rod slišem, hłopce. A kaz jutro pudzies?

— E, jutro pudem ku dolinom, haj. Uwidziółek, co jakiesi brzyćkie hmurska stanény nad skolami⁷⁷, toz to nie kcem odhodzić prec od hałupe.

— Zje toś ty mądry. Jobyk ci tez radziel pilno samo to.

Juści, dobrze niebarzo, ten juhas wse prawiel inaczej, jako robiel, toz to go nimóg Marzec hycić nijakim sposobe.

Bel jus koniec miesionca. Jakosi ostatniego dnia prawi Marzec do pasterza:

— No, hłopce. Jakoz ci ta idzie?

— Straśnie dobrze. Skońcel sie marzec, toz to o wode nimo sie co węcyl obować⁷⁸. Teraz nie strasno i beem se hodzował spoć spokojnie.

— O, toś pięknie napedziol. A kaz pudzies jutro?

— Jutro? Zje kazby, jak nie ku dolinie? Warcej⁷⁹ sie idzie i jakosi lepiej.

— Ostań z Pane Boge.

Poniós sie Marzec jak waryjok⁸⁰ jaki ku Kwietniowi i całom wej historyje mu ozpedziol.

— Pozic mi jeden dzień przinajmniej.

Kwiecień nie doł sie dwa razyj nukać⁸¹ o takom wej małom rzec — pozicel mu jeden dzień.

Przisło jutro. Juhas wyganiao i wyganiao statek, i potę biere sie ku dolinom, jako pedziol. Mésli se:

— Zje dy to przecie kwiecień. Jakozby to beło, coby w ten cos prało?

Co sie nie robi, przisel cos taki, ze kie cały kierdel⁸² porozprósowol sie po tej łance, zaceno lać, jak zeby sie niebo ozerwało. Nic, jacy wiater, śnieg i grad: taki brzycki cos, ize ten pasterz musiol sie końcem redykać ze statkiem⁸³ dó domu.

Zaseł Marzec na odwiecerz ku juhasowi. Lezy tén juhas wyciongnyony przy watrze, nic nijako nie obzywa sie, zły jak djaból.

Pado Marzec:

— E, hłopce. Dobry wiecór.

— Dobry wiecór.

— I jakoz ta beło dzisiok?

— Nie ozpytuj, nie ozpytuj, bars piéknie cie prosem, bo me djasi bierom. Je tys to béł dzień, nieg cie co praśnie! Zej to w godniku⁸⁴ nie mogło gorzyj dokucyc. Hnet byś rzók, ze sička djabli zerwali sie z piekieł i ozbiegli pó świecie. Dojéno⁸⁵ mie godnie, hojby na cały rok. A nobarzyj me luto⁸⁶ tyk moik biédnyh owiecek...

Temu to wej sie mówi, ze kwiecień ma trzidzieści dni a marzec jeden trzidzieści, bo se jeden dzień pozicéł od kwietnia,

M. SERAO.

KWIECIARKA.

Dziewczynka posuwała się zwolna, idąc tuż przy murze, wąską i krętą ulicą Kupiecką. Nie spoglądała na sklepy, nie podnosiła oczu ku długiej wstędze niebios, widocznej wśród wysokich kamienic, nie patrzyła nawet przed siebie. Posuwała się, nie zważając na błoto chodnika, na potrącenia, których jej nie skąpiono, lub na przejeżdżające rzadka powozy. Przybywszy do kościółka św. Cyryla, nawprost wizerunku Chrystusa w czerwonym płaszczu, w cierniowej koronie, z oczyma pełnemi znieruchomiałych łez, z plamami zakrzepłej krwi na czole i piersiach, dziewczynka rzuciła na statuetkę obojętne spojrzenie i zawróciła, posuwając się znowu tym samym sztywnym krokiem.

Była żebraczką. Zgłodniała i spragniona trzęsła się z zimna. Nogi jej były nagie a nieobute stopy zniekształcone od błota. W ów zimny dzień lutowy miała na sobie jedynie koszulkę i spodniczkę, podartą i wystrzępioną, umocowaną w pasie zapomocą sznurka. Na szyi miała strzęp jakiejś szarfy, spięty agrafką. Zresztą

nic. Była wychudła, prawie wyschnięta. Poprzez rozdarcia koszulki i spodniczki widać było bezkrwiste i szare ciało, z pod szarfy wysterczały obydwie kości obojczykowe tak gwałtownie, jakgdyby chciały rozerwać skórę; z prostych jak deska piersi można było wyczytać chorobliwą nędzę. Ramiona jej były ostre i skrzywione jak u człowieka, który zgina się ciągle we dwoje z zimna lub dla stłumienia kurczów żołądka. Twarz poważna i ocieżała o szarości ołowiu, jak całe ciało; krótkie czoło pomarszczone; ściągnięte cienkie brwi; ogromne oczy o szarych powiekach, podkreślone czarno i zapadnięte; twardy i ostry profil jak u dojrzałej już kobiety; usta wąskie, zaciśnięte; wargi blade, nieruchome, z dwoma zmarszczkami w kącikach. Liczyła lat siedm.

Kiedyś miała matkę — wychudłą i żebraczkę tak samo, jak i ona. Chodziły po ulicach Portu żebrząc. Jadały często chleb i sypiały pod schodami na słomie, córka z głową na łonie matki. Potem matka zmarła na tyfus; dziewczynka została sama na bruku. Nie płakała, ani nie krzyczała; wyszła na ulicę prosić o jałmużnę, ponieważ nie miała nic; owego dnia nie jadła a spała na dworze pod stopniami kościoła, zwinąwszy się w kłębek, jak pies.

Przez trzy lata życie dziewczynki biegło jednostajnie. Nic nie wiedziała, o niczem nie pamiętała, wyjąwszy jeden bardzo długi dzień, w którym była ciągle głodna. Od samego ranka zaczynała swoje wędrówki. Ulica Kupiecka, długa i pokręcona jak jelito, była jej

domem. Znała tam wszystkie boczne i ślepe uliczki, straszne zaułki, ciemne sklepy, cuchnące rynsztoki, wąskie i mroczne bramy, oświetlone słabym i szarym promykiem światła, wychodzone schodki. Chodziła tam i napowrót, bez wypoczynku, z placyku na Nowej Bramie, gdzie znajdował się jej punkt wyjścia, aż do kościółka św. Cyryla, gdzie był kres wędrówki. Zatrzymywała się na placyku Portu, robiła półkole i szła w powrotnym kierunku koło Starego Banku, rzucała okiem na wizerunek Orjona⁸⁷, umieszczony na murze a zwany przez lud „Mikołajem Rybą“⁸⁸, przeskakiwała w ulicy Mezzocannone, maczając sobie przytem stopy, potoki niebieskiej, czerwonej albo fioletowej wody farbiarzy, którzy pracowali w ponurych czeluściach, stojąc dokoła czarnych kotłów, w których mieszały jakiś płyn tajemniczy. Przybywszy do kresu wędrówki, nie miała odwagi zapuszczać się dalej i wracała ulicą Kupiecką; nie zatrzymała nawet chwilę spojrzenia na otwartej jadłodajni, znajdującej się pod łukami krużganku, gdzie smażyono ryby i paszteciki, skąd biło w oczy świeże i czerwone mięso pieczeni i zalatywała ostra woń pasternaku w occie. Nawracała z prawej przez brudne schodki św. Barbary, wchodziła na górę aż do sławnego wytwórcy sucharków — lecz sucharki zanadto wielką budziły w niej oskomę i dlatego uciekała stamtąd; wracając na dół, zatrzymywała się przed bramą zakładu kąpielowego i przyglądała się sztucznej sadzawce z kamienia, w której nie było wody a tylko na środku znajdował się posąg „muzy“, wychylający się z pomiej-

dzy wielkich, zielonych liści; odbywała swą drogę aż do św. Cyryla i wracała, zawsze tym samym ostrożnym krokiem, ocierając się o mury, prześlizgując się pomiędzy nogami przechodniów.

Owe czarne uliczki, owa ciasnota, owa nędza, owe domy ociekające wilgocią, owe cuchnące wyziewy, podejrzone bramy, ciemne barwy, ów brak słońca, owe lichwiarskie twarze kupców, podejrzone twarze ich pośredników, owe drobne towary, przyprószone pyłem ulicznym i uszkodzone — to wszystko było całym jej światem. Odczuwała niejasno, że ponad św. Barbarą, ponad św. Cyrylem, ponad Mezzocannone, na końcu ulicy księżniczki Małgorzaty znajduje się drugi świat, — nie miała jednak odwagi tam się zapuścić, odczuwała przed nim jakąś trwogę dzikiego zwierzęcia. Nawet tutaj, na ulicy Kupieckiej, bała się innych żebraczek, które ją były, bała się psów, które chciały ją kąsać, bała się policji, która mogła ją przytrzymać; była jednak sprytna i umiała się bronić przed temi niebezpieczeństwami. *Tam* — niebezpieczeństwo było nieznane. Ilekroć zbliżyła się do owych granic, rzucała podejrzliwie okiem w górę a potem uciekała, zakrywając sobie kędzierzawą główkę ramieniem, jakgdyby ją kto ścigał.

Prosiła o jałmużnę, lecz nie dostawała jej często. Cały ów świat ludzki, zajęty wyłącznie przepędzeniem twardego dnia, kupcy wyteżający cały swój umysł, by oszukać przybywających do miasta wieśniaków, tragarze zgięci w pałak pod dźwiganemi ciężarami, brudne i obdarte służące — nikt nie patrzył na nią. Niejeden „pan“

brał ją za małą złodziejkę i macał się po kieszeniach, rzucając jej przytem jakie brzydkie słowo; niejeden, ubrany schludnie, lecz ubogo, spoglądał na nią i wzruszał ramionami. Niejeden odczuwał wstręt na jej widok i odpędzał ją od siebie odpowiednim ruchem. Z początku prosiła głośno, prawie rozkazująco, o solda, nie mając nic w ustach od dnia poprzedzającego i doznając męczarni buntującego się z głodu żołądka; potem głos jej się zniżył, stawał błagalnym, zdyszczanym, płaczkliwym a kilka zimnych łez spływało po jej policzkach. Chodziła jakby instynktownie, tam i zpowrotem, mrużąc niewyraźne słowa, dopóki głos jej nie wysechł w rozpalonem gardle: wtedy prosiła o jałmużnę siłą spojrzenia. Pod wieczór, gdy niczego nie uprosiła, ogarniało ją ogromne znużenie, zawrót głowy sprawiał, że się zataczała, wlokła się aż do stopni kościółka na Nowej Bramie i tam już zostawała nieruchoma, skulona jak kupka gałganów, z której wydobywał się głuchy szloch. Podnosiła się, by jeszcze raz rozpocząć swą okrężną wędrówkę wśród zapalonych świateł, gromad robotników wracających od pracy i wśród zapachu pokarmów, wydobywających się z nawpół przymkniętych garkuchni. Udawało jej się wtedy dostać dwa centymy, kromkę chleba, kość z kotletu albo resztki ochłapów. Umykała zaraz, aby połknąć tę zdobycz, doświadczając przytem nieznośnego pieczenia w żołądku. Lecz zdarzały się często dni, w których nie dostała nic a wtedy zasypiała w chorobliwym odrętwieniu, nie mając nic

innego w ustach prócz nadgniętych skórek pomarańczowych albo strąków fasoli. Sobota była dla niej najlepszym dniem: w ten dzień jedna młoda i pięknie odziana pani dawała jej solda. Tak trwało pięć lub sześć miesięcy, lecz później pani zniknęła i niewiadomo, co się z nią stało.

W ów dzień niedzielny dziewczynka miała uczucie, że umiera. Siły opuszczały ją od czasu do czasu: siadała więc na ziemi. Sklepy były pozamykane, szybko idący przechodnie nie zwracali na nią uwagi, kierując się wszyscy w stronę ulic górnych i znikając *tam*: okiem wiodła bezwiednie za nimi. Weszła do kościółka na Nowej Bramie. Kościół był pusty; wydawał się jej ogromny i straszny; doznawała dreszczów, stojąc bosemi nożętami na zimnych marmurach; kościelny chwycił ją i wytrącił za drzwi. Rozpoczęła na nowo swą wędrówkę po wyludnionych ulicach — z uczuciem samotności i rozpacz. Wszyscy poszli *tam*.

Wówczas, zapomniawszy o trwodze, popychana przez głód, bezwiednie przekroczyła granicę a przeszedłszy ulicę Katalońską, weszła na stopnie kościoła św. Barbary. Była zdumiona. Zobaczyła to, czego nie widziała nigdy: szeroką ulicę, czystiutkie sklepy, białe pałace, grody i niebo. Na ten cudowny widok zapomniała o targającym wnętrzości głodzie; nie myślała już o nim zupełnie, stojąc przed sklepem z zabawkami. *Tam* wszystko było piękne. Poszła za falą ludzką, która płynęła w kierunku Fontana Medina, zatrzymywała się

co chwila, podniecona, zaciekawiona, zapominając prosić o jałmużnę. Jedynie krzyżujące się ustawicznie powozy napawały ją strachem; szła jednak chodnikiem. Na placu Ratuszowym, zmożona na nowo wyczerpaniem, siadła na ławce w pobliżu parku, lecz po chwili zerwała się i pobiegła również w stronę św. Karola: tam zgubiło się maleństwo w tłumie, który ją porwał w stronę św. Ferdynanda. Nie widziała nic, pochłonięta przez tłum: było jej ciepło, czuła się dobrze. Od czasu do czasu tylko widziała przesuwaną się w powietrzu bukię kwiatów, potem drugi, potem całą ich powódź; od czasu do czasu tłum rzucał się w bok, aby przepuścić powóz, w którym siedziała prześliczna pani na poduszkach i wśród kwiatów: zjawy szybkie, ulotne i błyszczące, które ją niemal przerażały. Czas mijał w ten sposób. Ściemniało się: kwiaty migały nie tak często, zgiełk stawał się mniejszy, tłum rzedniał. Obok dziewczynki przesunęło się pełne uroczego powabu zjawisko jakiejś pani w czarnych sukniach, przepasanych wysoko i bogatych, o twarzy białej i uśmiechniętej, z ogromnymi brylantami w małych uszach: w rękę trzymała ta pani koszyczek luźnych i powiązanych w bukietki kwiatów. Była to piękna jak senne widziadło kwieciarka, która gromadziła pieniądze na dnie koszyczka.

— Pani, pani — wyszeptał drżący głosik dziewczęcy — daj mi jeden kwiatusek.

A kwieciarka ruchem pełnym delikatności i szybkim wetknęła w dłoń dziewczynki pęk goździków.

Dziewczynka uśmiechnęła się, wetknęła jeden goździk w rozdarcie koszulki i chciała także sprzedawać kwiaty, mając ich tak wiele. Lecz od niej nikt nie chciał kwiatów kupować. Jakiś student powiedział do niej: Jak będziesz wielka, będziesz mogła sprzedawać kwiaty. Jakiś gruby pan ją wygłaszać deklamacje przeciw żebractwu i bierności władz bezpieczeństwa. Dziewczynka nie rozumiała treści słów jego, czuła jednak, że źle się z nią obchodzą. Nawet *tam* nie byli dla niej dobrzy. Była obdarta, bez bucików i brzydka: z jej dużych, szeroko rozwartych oczu bił przestach, jej nieuczesana i dzika głowa odstraszała wszystkich. Głód zjawił się na nowo, dziki głód, który niecił ogień w jej piersiach i szarpał. Była właśnie w pobliżu „Piekarni Francuskiej“, skąd wydobywała się woń chleba i ciast. Woń ta doprowadzała ją do utraty przytomności. Ofiarowywała swe kwiaty odruchowo, nie mogąc więcej mówić, z cichym łkaniem, które rozrywało jej piersi. Nadszedł jakiś żołnierz i kupił jeden goździk: dał solda. Dziewczynka weszła do piekarni i kupiła mały chleb za otrzymany pieniądz. To dla niej wystarczało. Chciała odejść. Trwoga jednak ogarnęła ją na nowo. Owe powozy ogłuszały ją i odurzały, gdy chciała przejść na drugą stronę. Wzięła rozpęd, pochyliła głowę... Siedząca w powozie pani wydała okrzyk przerażenia i zemdląca.

Lecz na ulicy, obok chodnika, konała niewinna istotka ze zmiądzoną nogą. Konała, leżąc wśród goździków, które rozsypały się dokoła jej biednego ciała,

przyciskając jeden z nich do piersi a chleb trzymając w drugiej ręce, z twarzą śmiertelnie bladą i pełną powagi, z ustami napół uchylonemi, z wielkimi, pełnymi zdumienia i bólu oczyma, które patrzyły w niebo...

W SZKOLE.

Oczekiwaaliśmy okresu próby z pewną tajoną tęsknotą. Godziny lekcji były jednostajne, często smutne. Uczyliśmy się niechętnie, jakby odrabiając pańszczyznę, według niejasno zakreślonych programów, pod okiem profesorów zanadto surowych albo zupełnie nieudolnych. Byliśmy przecież nauczycielkami a traktowanie narówni z uczennicami upokarżało nas i gniewało. W domu niejednej była nędza, u wszystkich prawie świecąca bieda — ta miała brata matolka, tamta sparaliżowanego ojca, owa znów dokuczliwą macochę; jedna ukrywała troskliwe ranę bolesną, druga tała z szlachetną miłością jakąś hańbę domową, jakieś nieszczęście, jakąś niesprawiedliwość losu, którą znosiła z zupełnem poddaniem się. Niewesołe były nasze młode lata a suche lekcje arytmetyki, pedagogji i geografji kończyły się pograżaniem w atmosferze smutku.

Jednak okres próby ratował nas od popadania w czarne myśli, bo przerywał nużącą jednostajność i dawał nam dzień wytchnienia. Było nas trzydzieści. Z tej liczby schodziły codzien trzy na parter, do szkoły

ćwiczeń: kolej zatem wypadła na nas co dziesięć dni. W ów błogosławiony dziesiąty dzień praktykantki wdziewały nowe suknie — o ile je miały — a o ile ich nie miały, ubierały przynajmniej czyściutki kołnierzyk i krawatę, cesały się staranniej, niż zwykle, a niejedna zawijała sobie loczki. Wchodziły do klasy o ósmej, odmawiały modlitwę, zapisywały obecność swą w katalogu i siedziały w sali roztagonione, z oczyma rozmarzonymi, oczekując godziny dziewiątej, by zejść na dół — podczas gdy koleżanki szeptały: Jakieście wy szczęśliwe, że idziecie na lekcje próbne.

Wracały na górę o drugiej, z twarzą rozognioną, z włosami trochę zwichrzonemi, zmęczone, lecz szczęśliwe — szczęśliwe z powodu tych kilku godzin, spędzonych wśród dzieci, szczęśliwe z powodu tego pierwszego zetknięcia się z niemi, owych pierwszych lekcyj, udzielanych nieśmiało, zadowolone z tej nowonabytej godności. I opowiadały koleżankom, jak uczyły dziatwę dodawania na liczydło, czytania dwugłosek i robienia oczek w pończosze; mówiły, że dzieci są takie kochane, takie mądre, niektóre spokojne, drugie swawolne; że ucząca nauczycielka zdawała wszystko na praktykantkę; że udzielanie nauki idzie trochę ciężko, ale wkońcu staje się przyjemnością. Potem rozmowa schodziła na charaktery dziewczynek, kreślone z najdrobniejszymi szczegółami: Orefice jest dobra, lecz tępą i trzyma ustawicznie mały palec w ustach: trzeba na nią zwracać ciągle uwagę. — Abbamonte jest śliczna, jak marzenie, ale ułonna — biedactwo — i nie może brać udziału

w gimnastyce. — Chiarizia jest zuchwałą, odpowiada niegrzecznie i mruczy pod nosem, ale jest córką sekretarza magistratu, więc nie można krzyczeć na nią zanadto. — Wszystkie koleżanki, które odbyły lekcje próbne wcześniej ode mnie, zapewniały mię:

— Będziesz widziała, Aloe doprowadzi cię do rozpaczy.

— To szatan wcielony.

— Gdyby nie było tej dziewczyny — klasa byłaby spokojna.

— Powinnoby się ją wydalić ze szkoły: to demon złościwości.

— Aloe jest straszna.

* * *

Przyszła wreszcie kolej na mnie. Minąwszy ogródek gimnastyczny, zatrzymałam się z biciem serca przed oszklonemi drzwiami klasy. Na stopniu progów siedziała skulona dziewczynka z pochyloną głową, lecz nie płakała.

— Co ty tu robisz? — zapytałam, przybierając ton urzędowy.

— Spóźniłam się — odpowiedziała cicho, nie patrząc mi w oczy — i pani nie pozwoliła mi wejść do klasy.

— Czemu nie idziesz do domu?

— Bo mamy niema teraz w domu.

— A gdzie mama?

— W fabryce tytoniu.

— Jak się twoja mama nazywa?

— Nazywa się mama — odpowiedziała nieco zdziwiona.

— Chodź ze mną do klasy; poproszę panią, by ci darowała spóźnienie.

Zaledwieśmy weszły, powstał wielki ruch w klasie: wszystkie dzieci — może sześćdziesiąt — powstały ze swych miejsc, wrzeszcząc wszelakimi głosami:

— Dzień dobry pani!

Zdaje mi się, że poczerwieniała z dumy; głos mi drgał, gdy mówila do nauczycielki:

— Dzień dobry pani. Proszę kazać dziewczynom siadać i proszę pozwolić, by tamta mogła pozostać w klasie.

Twarz nauczycielki wykrzywił grymas:

— To Aloe. Będzie się pani dobrze bawiła.

Poczem, wrzuszwszy ramionami, poszła na śniadanie. Aloe pokazała jej język — tak na początek. Była to dziewczynka dziesięcioletnia, bardzo brzydka, bardzo chuda, z wystającymi kośćmi policzkowymi, z szerokimi i zawiędłymi ustami dojrzałej kobiety, z dwoma szaremi, żywymi i niedobremi oczyma, z czarną grzywą szorstkich i gęstych loków, które jakby chciały oderwać się od jej bladej twarzy. Miała na sobie wypłowiałą sukienkę wełnianą, bawełniane niebieskie pończochy, pocerowane białymi nićmi, i podarte buciki.

— Idź na miejsce — powiedziałam — i zachowuj się spokojnie.

Udała się powoli do swej ławki i siedziała pięć minut spokojnie. Lecz podczas odmawiania Zdrowaś

Marja trąciła łokciem Cavalieri, która zaczęła płakać. Cavalieri była to tłuściutka, bieluśka i zaokrąglona dziewczynka o włosach kasztanowatych, buzi okrągłej i rozchylonej; miała dołeczki na policzkach, na brodzie i na rączkach, tłusty podbródek i tłuściutkie przeguby u rąk. Ubrana była w ciepłą sukienkę czerwoną, biały haftowany fartuszek, czerwone pończoszki i posiadała elegancki koszyczek na śniadania. Przepędzała czas na oglądaniu swych ramion, swych rąk, swych stóp, fałdów fartuszka, uśmiechnięta i pełna, nadymając usta, nie rozumiejąc niczego, kusząc do pocałunków dzięki swemu wyglądowi kuleczki bielusiej, zaróżowionej i czyściutkiej.

— Aloe, dlaczego trąciłaś Cavalieri?

— Bo ona zanadto tłusta, proszę pani — odpowiedziała, patrząc mi w twarz swemi oczyma chorej i niedobrej kobiety.

— Przepróż ją natychmiast!

— Nie! — odpowiedziała twardo, uderzając nogą o podłogę.

— Bądź dobra, Aloe! Wyrządziłaś krzywdę Cavalieri, Cavalieri płacze, przepróż ją.

Wtedy Aloe, nie patrząc ani na mnie ani na małą sąsiadkę, mruknęła cicho:

— Przepraszam.

Udobruchana Cavalieri zarzuciła jej na szyję swe tłuściutkie łapki i ucałowała w twarz. Aloe zaczęła płakać, drżała na całym ciele i szlochała — niepocieszona...

* * *

Ilekcję chciałam być surową, nigdy mi się to nie udawało. Te stworzonka nie wierzyły w moją surowość, w surowe spojrzenia, w słowa suche i krótkie, w zapowiedzi kar. Zerkwały na mnie z pod oka i uśmiechały się, albo też prosiły o przebaczenie pokornym wzrokiem — a wtedy ja obracałam się ku tablicy, aby nie stracić powagi. Niepodobną było rzeczą utrzymać je w spokoju: każda chwila przynosiła nowe zdarzenie. Parascondolo naprzykład, dziecko delikatne o ciemno-kasztanowatych oczach i nosku z rozszerzonymi nozdrzami, jadła ustawicznie. Najpierw zjadała chleb, potem obierała pomarańczę pod ławką — potem gryzła orzechy, które miała w kieszeni.

— Parascondolo! Jeszcze nie skończyłaś?

— Proszę pani, to cukierek. Miałam go w kieszeni.

Nieco później:

— Parascondolo! Skończ już to jedzenie!

— Proszę pani, to orzech. Amarante mi go dała.

Potem:

— Opowie mi to, co było zadane — Parascondolo!

Dziewczynka obracała tem, co miała w ustach, czerwieniła, łzy napływały jej do oczu, nie umiała dać sobie rady, dotykała kieszeni fartuszka, by sprawdzić, czy znajdują się tam jeszcze prażone orzeszki, które sobie kupiła. Natomiast Jadwiga Santelia umiała zawsze zadaną lekcję, dodawała trzy cyfry, stawiała kreski jak należy, trzymała lekko pióro, nie plamiąc sobie palców atramentem. Siedziała cichuteńko, nie obracając się ku swym małym koleżankom, zapatrzona we mnie trwożnymi

oczkami, jakgdyby chciała odgadnąć moje życzenia. Podrażniona nieco tą jednostajną dobrocią, uczyniłam kilka prób, by ją zmieszać, przyłapać na jakimś błędzie. Odpowiadała zawsze dobrze, wolno i pokornie, nie dając się nigdy zbić z tropu. W ten sposób zwyciężyła mnie wreszcie. Gdy więc raz Aloe wyjęła korek z kałamarza, powalawszy się przytem okropnie atramentem, krzyknęłam na nią:

— Aloe! Ty jednej minuty nie usiedzisz spokojnie! Popatrz na Santelię!

— Ach, ta Santelia — odpowiedziała mi jakimś grobowym głosem.

Aloe nie umiała nic, nie miała elementarza, pióra, książki rachunkowej i zeszytu. Stała przed tablicą, na której były wypisane litery, patrząc na nią z rękoma wolno wiszącymi, nie otworzywszy ust. Żywy wyraz cierpienia powlekał jej bladą twarz.

— Czytajże!

— Nie umiem — mruzczała — nie umiem.

— Idź do ostatniej ławki i poproś Tecchię, aby ci dała swój elementarz; Tecchia będzie tymczasem uważała z Buongarzone.

Tecchia bowiem i Buongarzone, jedna blada brunetka a druga blondynka o niebieskich oczach, nie rozłączały się nigdy ze sobą, czytały z tej samej książki, maczały pióra w tym samym kałamarzu, używały jednej tabliczki z literami. Przychodziły do szkoły razem, trzymając się za ręce, bardzo poważne. Ilekroć Tecchia nie umiała lekcji, nie umiała jej także Buongarzone: ilekroć Buon-

garzone otrzymała jaką karę, Tecchia płakała cicho tak długo, dopóki nie otrzymała również kary. W czasie przerw przechadzały się razem, trzymając się pod rękę i nie mówiąc do siebie. Razem jadły cichutko w rogu ławki śniadanie, gryząc jak dwie myszki. Gdy Tecchia szła do liczydła, Buongarzone drżała w ławce, usiłując podpowiadać i pomóc w ten sposób przyjaciółce:

— Tecchia: 73 a 8?

Wtedy Buongarzone szeptała, pochylając oczy, abym nie mogła niczego spostrzec:

— 81... 81...

Rozumiały się doskonale, choć nic nie mówiły. Nieraz tylko wybuchały zgodnie śmiechem — nie wiedzieć dlaczego — chwytając się za rękę. Następnie wymieniały wzajemne myśli:

— Książka rachunkowa rozleciała się.

— Trzeba białej nitki.

— Poprosimy naszą stróżowę.

— Niema jej.

Poczem spoglądały na siebie wzajemnie z podziwem, jakgdyby inne dzieci nie istniały wcale, i oczekiwały godziny wyjścia ze szkoły, by iść razem spokojnie, trzymając się za rękę i rozmawiając o takich rzeczach:

— Dzisiaj będzie makaron.

— Mamusia zrobiła dzisiaj zupę jarzynową.

* * *

Godzina robót ręcznych była długa i trudna. Mało która dziewczynka umiała robić pończochy, tu i ówdzie

któraś umiała obrębiać, a i z tych kilka zaledwie miało nici, druty, igły, napaśtek i jakiś kawałek płótna do obrębiania. Santelia szyla już koszulę. Cavalieri uklęła się w paluszek, z którego trysnęła krew: dziewczynka wysssała ją i nie chciała szyć więcej. Tecchia i Buon-garzone miały pończochę i trącając się łokciami, pracowały z wielką trudnością, jakgdyby liczyły oczka. Inne, które nie szyły, nie umiały ani siedzieć cicho, ani utrzymać swoich języczków na uwięzi. Musiałam często się gniewać, aby uzyskać chwilę spokoju. Po pięciu minutach odzywa się trwożliwy głosik:

— Proszę pani, mybyśmy chciały panią o coś poprosić.

— O co?

— Proszę nam najpierw powiedzieć, czy pani to zrobi?

— Kiedy nie wiem, co to takiego...

— Proszę pani, pani może to zrobić...

— Więc co?

— Proszę pani, my chcemy wiedzieć, jak się pani nazywa.

Spełniłam szybko ich życzenie i w tej chwili rozległ się chór wykrzykników:

— O, jak się pani ładnie nazywa! Jaka pani szczęśliwa, że się tak nazywa!

Lecz w czasie tej godziny owa chuda Aloe z gorączkowemi oczyma popełniła kilka rzeczy, które mogą się zrodzić tylko w jakiejś dziwacznej głowie: podarła zeszyt, zabrała jeden bucik Parascondoli, wbiła sobie

agrafkę między dwa zęby i nie mogła jej wyjąć, rozdarła jedno siedzenie ławki, wybiła szybę i skaleczyła się w rękę. Nic nie pomagało: śmiała się z łajañ, z kar, poszła w ką, tańczyła tarantelę, naśladowując kastaniety palcami, i rzuciła się na ziemię, robiąc koziołki. Niepodobna było ją poskromić. Były chwile, gdy chciałam ją wypoliczkować; to znów łzy cisnęły mi się do oczu. Aloe była nie do oswojenia.

— Aloe, jeśli nie zachowasz się chwilę spokojnie, idę na górę i zawołam panią dyrektorkę — rzekłam spokojnie.

Spojrzała na mnie, patrząc ukradkiem.

— Jeśli pani da się pocałować, będę spokojna.

— Cóż to znowu za dzikie żądanie?

— Chcę panią pocałować — powtórzyła z uporem.

Musiałam dać się pocałować. Wtedy Aloe usiadła, pozostała bez ruchu, z założonymi rękoma, przejęta jakimś ogromnym smutkiem. Gdym odchodziła, dziewczynki otoczyły mię, wykrzykując na przeróżne tony:

— Proszę pani, niech pani prędko wraca! Proszę pani, pani nie powie na górze, że jesteśmy niedobre?...

Aloe zabrała się do domu, nie mówiąc do mnie ani słowa.

* * *

W czasie feryj zobaczyłam Santelię w pobliżu sklepu blacharza. Siedziała i szyła. Poznawszy mię, podniosła się, patrząc i teraz swym trwożnym wzrokiem:

— To twój tato ten blacharz?

- Tak, proszę pani.
- Przeszłaś do następnej klasy?
- Tak, proszę pani. Dostałam medal.
- A inne?
- Zostało dwadzieścia w tej samej klasie.
- Pewnie także Aloe?
- Nie, proszę pani. Aloe umarła.
- Kiedy?
- W sierpniu.
- Co jej było?
- Miała gorączkę, kaszlała i bolały ją piersi.

Potem umarła.

— Widziałaś ją?

— Widziałam proszę pani. Chodziła do niej pani dyrektorka i ja poszłam także. Ja i Cavalieri. Aloe powiedziała tak do pani dyrektorki: Proszę pani powiedzieć wszystkim paniom, że proszę je o przebaczenie. — A te nowe pończochy, które zrobiła jej mama a których nie mogła już ubrać, bo była umierająca, kazała podarować Casanovie, tej biednej dziewczynce, która przychodziła do szkoły w sabotach...

P. MOLMENTI.

WENECJA.

Gdy pociąg kolei żelaznej, jadący w kierunku Wenecji, opuści ląd stały i wjedzie na długi most kamienny, który jak wstęga łączy miasto z lądem stałym, podróżny spostrzeżga nagle, że dokoła niego znika zupełnie wszelki znak żywej natury. Wjeżdża w ogromną przestrzeń spokojnych wód, w obszar morza zamkniętego i zamarłego, na którego tafli kołyszą się lekko barki lub odcinają się tu i ówdzie nikłe laguny; spostrzeże grupkę rybaków, zarzucających sieci dokoła statku, którego żagiel dziwacznie zeszyty z barwy pomarańczowej i czerwonej; widzi mewy, co rozpiętem skrzydłem muskają spokojnie zwierciadło, niedostrzegalnie marszczone łagodnym powiewem wiatru, a dokoła, jak okiem sięgnąć, powietrze i wody lśnią drgającym uśmiechem samotności. Ni śladu ziemi pokrytej roślinnością, ni zieleni, ni głosów zwierząt: milczenie i pustka między laguną i niebem. Lecz oto nagle, na linii pogodnego widnokrzęgu, zaczynają jakgdyby wprost z łona tych wód wyłaniać się pomału zarysy miasta: widać już mury,

szczyty wież kościelnych, ostrza dzwonnicy; oto stopniowo, hen, w głębi świetlistego kręgu, zarysowuje się Wenecja, pływające miasto, bez ziemi, bez otoczenia, bez ram naturalnych, bez żadnej podstawy widzialnej, z wyjątkiem własnego obrazu, odbitego w wodzie. I gdy nieco później podróżny wjeżdża do Wenecji i staje wobec otwartego widoku na Wielki Kanał, zdumienie jego sięga szczytu: kościoły, pałace, budowle marmurowe wszelakiego rodzaju wznoszą się, jakby cudem, z zwierciadła spokojnych wód, a to samo milczenie, ten sam uśmiech drżący samotności obejmują tyle cudów, że równych im niema chyba na świecie...

Tyle innych miast budzi ogromny podziw podróżnych, co po raz pierwszy przybywają na morze: Triest, Ankona, Genua, Palermo, Neapol przedewszystkiem, gdzie panorama zawiera w sobie wszystkie te pierwiastki, które język całego świata określa mianem piękna. Lecz w nich owo piękno zawdzięcza swój początek zbiorowisku i harmonji pierwiastków natury i ludzkiej pracy, szczęśliwemu położeniu miasta na wybrzeżach, okrytych kwieciem, na uroczych wzgórzach umajonych zielenią, pośrodku krajobrazu, którego piękność wystarczaby niezawodnie i bez pomocy rąk ludzkich; one to, piękne same przez się, potęgują swój blask i życie pod wpływem krajobrazu — a jeśli nawet nie są piękne, czerpią swą duszę z otoczenia i tła.

W Wenecji natomiast żadnego nagromadzenia pierwiastków natury, żadnej różnorodności terenu i roślin; żadna linja główna nie zamyka sceny; tu natura dostar-

czyła tylko dwu pierwiastków: wody i nieba. Wszystko inne, cokolwiek się widzi, jest artystycznym wytworem ręki człowieka, który wykluczył roślinność, zwierzęta, wszelkie współzycie istot żywych, a stworzył, jeśli zgodnie z prawdą wyrazić się należy, jakiś świat z kamienia, jakiś krajobraz architektury i perspektywy, i chciał, by to wszystko było piękne samo przez się, siłą sztuki i bogactwa; by nie było zbiorem budowli, lecz budowlą samą, tak wzniosłą i silną, iżby zwyciężyła wszelkie porównania i przetrwała wieki. To też czar, jaki wywiera miasto na widza, nie znajduje i nie może znaleźć równego sobie, gdyż Wenecja jest sama dla siebie i w całości dziełem sztuki, tudzież idealną ojczyzną każdego, kto kocha sztukę i potrafi odczuć jej najsubtelniejsze piękności.

G. DELEDDA.

DWIE SPRAWIEDLIWOŚCI.

W nędznej wiosce sardyńskiej najuboższym mieszkańcem był „wuj“ Quirico Oroveru. Był on biedniejszy nawet od żebraka, miał jedną jedyną koszulę, jedną parę spodni i czapkę, którą sam sobie sporządził ze skórki zajęczej; nie miał guzików u koszuli, nie miał ani kapoty ani płaszcza ani rzemyków do opasywania goleni, nie miał nawet butów, co było wyrazem największej nędzy w oczach tamtejszych mieszkańców.

A przecież był zdrow i silny, piękny typ niemal celtycki, wysoki i rumiany, o wiecznie uśmiechniętych oczach. Czegoż chcecie? Tak się wychował, przyzwyczajony wyłącznie do noszenia drzewa z lasu celem sprzedaży; nie umiał pracować inaczej, ale zresztą był nieszkodliwy, jak jaszczurka, i niewinny, jak siedmioletnie dziecko. Cały jego majątek składał się — prócz wymienionych wyżej części ubrania — ze srebrnego medalika, który nosił na szyi od dzieciństwa, z siekiery, z powroza, który sam sobie ukręcił, i składanego noża.

A jednak często bywał zadowolony z siebie i więcej niefrasobliwy od samego pana Saturnina Solitty,

najbogatszego człowieka w okolicy. Prawie wszystkie dni przepędzał w lesie, tak pięknym i milczącym o jakiegokolwiek godzinie i we wszystkich porach roku, czyto gdy dęby pokrywały się kwiateczkami koloru bladego złota, czyto gdy nastawało błękitne południe lata, czyto gdy wszystko milczało w wilgotnej zieleni pod srebrem jesiennego nieba, czyto gdy wielkie gałęzie uginały się pod ciężarem okiści. Drwał rąbał ciągle. — *Tok tok tok* powtarzało ustawicznie w ciszy lasu wstrząsane ciosami siekiery drzewo; *kju kju kju* odpowiadał w oddali ptaszek leśny. Zresztą nic. Wuj Quirico albo się modlił, albo myślał o zaniesieniu drzewa do chaty, gdzie mu lepiej płacono, albo marzył o kupnie pary butów.

Miał lat około czterdziestu pięciu, gdy pewnego razu zatrzymali go w lesie dwaj lasowi.

— Co wy tu robicie? — zapytali.

— Nie widzicie? — odpowiedział, stając zgięty pod brzemieniem drzewa, lecz z twarzą zwróconą do góry.

— Jesteście właścicielem lasu?

Zaczął się śmiać, wysuwając naprzód i oglądając jedną ze swych nóg bosych.

— Nie mam nawet butów.

— No dobrze. W takim razie dopuściliście się przekroczenia lasowego. Kto wam pozwolił rąbać drzewo w lesie?

— Nikt. Sam sobie pozwoliłem, bo inaczej umarłbym z głodu.

— No dobrze. W takim razie dopuściliście się przekroczenia lasowego.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że będziecie musieli zapłacić grzywnę, albo odsiedzieć w więzieniu.

Wuj Quirico stracił ochotę do śmiechu; przeciwnie, twarz mu zmierzchła.

— Ale ja rąbię już od trzydziestu lat i nikt mi nigdy nie powiedział, że powinienem tego nie robić i umierać z głodu.

Na twarzy obu strażników błysnęło wzruszenie.

— Ha, trudno, moi drodzy; takie jest teraz prawo i musicie je uszanować. Tym razem idźcie sobie, ale uważajcie, byśmy was drugi raz nie spotkali w lesie.

Tymczasem spotkali go jeszcze kilka razy a wreszcie zabrali mu jednego dnia drzewo i oskarżyli. Nie byli to źli ludzie, żywili nawet współczucie dla biedaka, lecz cóż mogli zrobić? Musieli spełnić obowiązek.

Wuj Quirico mimo to uprawiał dalej swoje rzemiosło, lecz z największą ostrożnością: zapuszczał się w najdziksze ustronia, gdzie nie było słycać nawet *kju kju* leśnego ptaka. Nawet *tok tok* wstrząsanego pod razami siekiery drzewa brzmiało lękliwie i w przerwach: zdawało się, że od czasu do czasu drżące drzewo uspokaja się w trwożnym nasłuchiowaniu. Tymczasem wuja Quirica skazano na dotkliwą karę pieniężną, ponieważ wszyscy świadkowie, właściciele lasu, oświadczyli, że był on jednym z największych i najuporczywszych szkodników leśnych.

Musiał odsiedzieć tę grzywnę w więzieniu. Była to dla niego straszliwa zhora. Cierpiał, jak nigdy w swem

życiu: w przeciągu kilku dni postarzał się o dziesięć lat, był brudniejszy i obdarty bardziej, niż zwykle, wzrok mu przygasł. Nie, do więzienia on nie pójdzie, dopóki trwa piękna pora roku! Ale nawet w brzydkiej porze nie pójdzie, bo w zimie sprzedawało się drzewo najlepiej. Na wszelki wypadek porozumiał się z drugim człowiekiem w okolicy, wyniósł się ze wsi i rąbał dalej drzewo, które sprzedawał wspólnik; oszukiwał on go wprawdzie na zarobku, ale wuj Quirico musiał być cicho i pogodzić się z losem.

Czuł się ogromnie nieszczęśliwym. Musiał zachodzić do dalekich lasów, albo przynajmniej rąbać po nocach, przy świetle księżyca...

* * *

W ten sposób minęła jesień, przeszła zima i nastąpiła wreszcie wiosna. Wuj Quirico znajdował się w ostatniej nędzy: był prawie nagi, włosy i broda porastały mu dziko, cierpiał często głód. Nie chciał się jednak oddać w ręce władzy. Nie, nie! Nie oddał się w czasie wielkich mrozów zimowych, to tem mniej oddałby się teraz, gdy słońce wysyłało takie błogie ciepło poprzez przerwy między koronami drzew, gdy powietrze pachniało fiołkami. Oddałby się z powrotem zimy; ale na to był czas.

* * *

Pewnego razu los zdawał mu się uśmiechać. Pod krzakiem znalazł wielki portfel czerwony, dwie portmonetki, jedną sakiewkę i jakieś papiery. Popatrzył: pieniędzy nie było żadnych, ale papiery musiały być

ważne i może ich właściciel dałby mu za nie dobre znaleźne. Zebrał więc wszystko i poszedł dalej drogą, a spotkawszy się ze swoim wspólnikiem, który umiał czytać, opowiedział mu rzecz całą.

— A żeby cię! — zawołał wspólnik, patrząc na niego z nieufnością. — Te rzeczy należały do pana Saturnina Solitty!

Wuja Quirica przeszedł dreszcz grozy. Pan Solitta został niedawno zamordowany, wracając z Cagliari, gdzie sprzedał wielki transport świń. Morderca zabrał niewątpliwie pieniądze a portfel i papiery porzucił w lesie.

— To są weksle a ten papier to tak, jak pieniądze, popatrz — mówił wspólnik, który umiał czytać i pisać, i był niegdyś służącym w bogatym domu. — Jak pójdziesz do kantoru, to ci go zaraz wypłacą. To się nazywa czek.

— O, ja nie pójde. Powiedzą jeszcze, że ja go zamordowałem.

— Jesteś głupi. Po dwóch albo trzech miesiącach nikt w mieście nie pamięta o morderstwie. Pójdziesz, poczynisz zakupy, resztę pieniędzy schowasz do kieszeni i wrócisz najspokojniej w świecie.

— Ale... czy to nie jest tak, jak kradzież?

— O, jakież ty głupi! Jaka znowu kradzież, jeżeli właściciel już nie żyje? Kradzież popełnił ten, który mu przepędził kulkę przez szyję.

— Idź do diabła, ty! — zawołał wuj Quirico, śmiejąc się przytem tak szczerze, że we wspólniku nie pozostał najmniejszy ślad pierwotnej nieufności.

— Czemuż więc nie miałbyś zmienić tego papieru? W najgorszym razie możesz powiedzieć, żeś go znalazł. Nie jesteś ty najgłupszem stworzeniem na świecie? Nie widzisz, że nie masz jednego całego kawałka sukna na sobie?

— Ach, to prawda. Ale właśnie dlatego, czy nie będą podejrzliwi, widząc mię w takich łachmanach?

— To ja ci pożyczę butów, kapoty i rzemyków.

— A płaszcz i czapki?

— To ty chcesz wszystko?

— Jak mi dasz...

— Dobrze, ale wtedy...

— Rozumie się, kupię ci coś. Co chcesz, aby ci kupić?

— Co sam chcesz.

Jakiś czas wuj Quirico czuł się mniej nieszczęśliwym, niż z początku. Myślał o pięknych rzeczach, które sobie kupi: o butach, kamizelce, nowej siekierze. Gdzieś tam, na samem dnie duszy, odzywały się trochę wyrzuty sumienia, budziła się trwoga, ale ostatecznie papier znalazł, a zresztą, w razie czego — pomyślał sobie dziecinnie — wystarczy powiedzieć prawdę, aby pozbyć się kłopotów. Po kilku więc dniach walki, gdy wspólnik wreszcie oświadczył, że w takim razie pójdzie sam, udał się do miasta.

* * *

Kupiec wziął czek do ręki i oglądał go uważnie: na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— Nie mam pieniędzy — rzekł — ale zaczekajcie chwilę, pošlę go zmienić do sąsiada.

Wuja Quirica przejął lekki dreszcz niepokoju. Jednak zgodził się. Schylony, przymierzył jeszcze raz kupione buty, bardzo wygodne, acz nieco za ciężkie.

— Twarde bestje, jak djabły — mrucał, mnąc skórę w rękę — ale się je wysmaruje tłuszczem i będą miękkie: co prawda ładne, bo ładne.

Tymczasem człowiek, pošłany z czekiem, jakoś nie wracał: niespokojny i zdenerwowany kupiec stawał we drzwiach wchodowych i spoglądał wdał. Wreszcie ów człowiek wrócił: za nim wszedł do sklepu jakiś pan o grubych wargach, bardzo porządnie ubrany, w towarzystwie dwóch policjantów. Wuj Quirico poczuł zimno w piersiach: czekał, co się dalej stanie i doznawał przez chwilę uczucia trwogi. Ale w tej chwili pomyślał:

— Powiem prawdę i będzie dobrze.

Trwało to wszystko jedno mgnienie oka.

— Kto wam dał ten papier? — zapytał ów pan.

— Znalazłem go — odpowiedział wuj Quirico, podnosząc się z szacunkiem i trzymając w rękę buty współnika.

— Gdzieście go znaleźli?

— W lesie pod krzakiem.

— Moi kochani — odezwał się ów pan łagodnie, w obawie może, że ten dziki olbrzym stawi opór — będziecie tak grzeczni pójść z nami i opowiedzieć wszystko lepiej panu inspektorowi.

Wuj Quirico poszedł za nim posłusznie, doznając w sercu swem rozczarowania, że wystarczy powiedzieć

prawdę, aby znaleźć wiarę. Lecz w głębi duszy czuł jakiś tajemniczy ucisk nieświadomego przeczucia, że stanie się coś złego.

* * *

W czasie długich godzin więziennych, trawiony bezwiednie tęsknotą za wielkimi, samotnymi lasami i za otwartym niebem, czuł się nieszczęśliwym, bardzo nieszczęśliwym; przypominał sobie dni swego ukrywania się; jak z tego powodu cierpiał; zdawało mu się, że zgrzeszył wtedy, użalając się na swój los, ponieważ cierpienia owych dni były wielkiem szczęściem w porównaniu ze smutkiem obecnym. A jednak nie zdawał sobie jeszcze dokładnie sprawy ze strasznych rzeczy, które go czekały. Spodziewał się ciągle, że lada chwila zostanie uwolniony, i każdej nocy, zasypiając, słyszał silne *tok tok* siekiery, któremu odpowiadał w ciszy leśnej powolny i melancholijny głos kukułki...

Trwało tak długo — wszyscy zapomnieli o nim. Wreszcie jednego dnia wręczono mu jakiś papier, w połowie drukowany, w połowie pisany: prosił ze drżeniem, by mu wyjaśniono, co to znaczy. Potem posłano mu obrońcę, młodego adwokata o zielonawej twarzy, gniewliwego albo obojętnego — zależnie od chwilowego nastroju. Także ów adwokat domagał się tak samo, jak sędzia śledczy, by wuj Quirico przyznał mu się, że zamordował pana Saturnina Solitę.

— Powiedzcie mi prawdę — mówił. — Adwokatowi musicie powiedzieć prawdę a potem jakoś to będzie.

Przez chwilę wuj Quirico doznawał pokusy, by przyznać się do morderstwa, wydawało mu się bowiem rzeczą o wiele łatwiejszą uwolnić się przyznaniem do zarzucanej mu zbrodni, niż zapewnianiem, że mówi prawdę. Lecz gdy nie widział przed sobą zielonej twarzy adwokata, oddawał się znów nadziejom o triumfie prawdy; zresztą towarzysze w więzieniu zapewniali go, że przysięgli są ludźmi dobrymi, że mają serca ludzkie a nie kamienne, jak urzędnicy.

Nadszedł wreszcie dzień rozprawy: wuj Quirico zerwał się z posłania prawie wesoły, mając w nocy sen, że był w lesie w pobliżu rzeki, a jakiś czarny ptak błotny, o długich i potężnych nogach, zielonych jak sitowie, śpiewał dziwnie, siedząc na gałęzi wierzby.

Wśród świadków znalazł się także współnik drzewny. Zaprzeczył, jakoby to on radził pójść do miasta i zmienić czek. Inni zeznali, że obwiniony był człowiekiem dzikim, ponurym i nietowarzyskim.

Ministerstwo wydało o nim opinię jako o „dzikim zwierzu, który długo obmyślał swój plan zbrodni, czyhając na swą ofiarę w zasadzce, jak leśny drapieżnik czyha na swą zdobycz“. Właśnie tak.

Wuj Quirico spoglądał wystraszony na pana w błyszczących szklach, któremu nigdy nie zrobił nic złego, i doznawał na jego widok nadzwyczajnej trwogi.

Aby nabrać otuchy, obracał wzrok na sędziów przysięgłych, ludzi prostych, spokojnych, o tęgiej tuszy, o jakimś dobrotliwym wyrazie twarzy — i snuł nadzieje.

Przemówił adwokat: był zielony, jak nigdy, a w chwilach zapału zgrzytał okropnie zębami.

Biedaka skazano na dożywotnie roboty przymusowe. Płakał gorzkimi łzami. Spojrzał jeszcze raz na sędziów przysięgłych, na tych ludzi spasionych, spokojnych, o dobrym wyrazie twarzy; przypomniał sobie swój sen, swoją ślepą wiarę w zwycięstwo prawdy i powiedział sobie, że wszystko, co wydawało mu się pięknem, było fałszem.

* * *

A potem wywieziono go bardzo daleko do salin, ogolono mu włosy, brodę i wąsy, ubrano w czerwone odzienie i założono kajdany na nogi. W pierwszych miesiącach żył zrozpaczony: widok niezmiernego morza potęgował w nim jeszcze uczucie rozpaczliwej tęsknoty, w nim, który był przyzwyczajony do wilgotnych i zamkniętych lasów. Z biegiem lat jednak przyzwyczał się do wszystkiego, pogodził z losem, wspomnienia się zatarły: nawet nieraz na myśl, że w domu starość przeszłaby mu może w czarnej nędzy, pocieszał się, widząc zapewniony teraz żywot.

Potem stał się niedobrym; utracił swą niewinność, zachowaną aż do dnia wyroku; kłął, kradł, gdy nadarzyła się sposobność i upijał się, jak najgorszy skazaniec. O Bogu nie myślał — a jeżeli myślał, to z gniewem, że Bóg dopuścił do tego wszystkiego.

* * *

Pomiędzy towarzyszami niedoli znajdował się pewien Sardyńczyk, z którym wuj Quirico zawarł serdeczną przyjaźń. Nazywał się Pietro a pochodził z tych samych stron. On to, nabrawszy czasem zupełnego zaufania do wuja Quirica, opowiedział mu swoje przygody z rzadkim akcentem prawdy.

— Słuchaj. Pochodzę z tamtych stron. Wiodło mi się dobrze, miałem krowy, pasiekę, ziemię...

Ale człowiekowi wszystkiego za mało. Wiedziałem o jednym bogatym księdzu, który miał nawet złotą zastawę, i poszedłem z kilkoma towarzyszami, aby go okraść. Krzyczał, więcemy go udusili. Wtem: pum, pum — strzelają żandarmi. Musieliśmy uciekać, ale jeden z naszych został w ich ręku i zdradził — podlec — nasze nazwiska. Musiałem ratować się ucieczką, wpierw jednak sprzedałem wszystko a pieniądze włożyłem do dzbanka i zakopałem go. Potem złapali mię. — No a twoja historia?

— O — rzekł wuj Quirico gorzko — ja okradłem człowieka i zabiłem go tak, jak ty, z tą tylko różnicą, że te winy wmówili we mnie oni...

— To niesprawiedliwość. Ja zamordowałem na prawdę.

— A masz krewnych? — zapytał wuj Quirico, myśląc o dzbanie.

— Bodaj ich piekło pochłonęło! Opuścili mię wszyscy jak psa: bodaj ich także to samo kiedyś spotkało!

Przyjaźń między oboma trwała długie lata, przynosząc pewną ulgę nieszczęśliwym istotom. Razu pew-

nego przy pracy odezwał się wuj Quirico do towarzysza:

— Dobrze, ale dlaczego ty nie napiszesz do kogo, ażeby wykopał ten dzban i posłał ci pieniądze? Możnaby za to poprawić sobie trochę życie, kupić to i owo.

— Głupczel! Takiby ci wszystko zatrzymał sobie. Znam ja świat lepiej od ciebie.

— Ale wtedy...

— Pewnie. Ja wiem dobrze, co chcesz powiedzieć. Tak — powiem to jakiemu biedakowi, gdy będę umierał. Tak, jakiemu biedakowi, ażeby potem modlił się za moją duszę...

W ten sposób płynęły dni, płynęły miesiące i lata całe. Wuj Quirico posiwał, pierś mu się zapadła, postać cała mocno się pochyliła...

* * *

Jednego dnia zdarzyło się coś nadzwyczajnego. Wuja Quirica wezwano przed oblicze dyrektora zakładu karnego. Poszedł tam nieco zakłopotany.

— Teraz, gdy upłynęło tyle lat — rzekł dyrektor — gdy jesteście już starzy, możecie powiedzieć prawdę. Popełniliście tę zbrodnię, czy nie? Mówcie prawdę, całą prawdę. To wam pomoże. Podamy o darowanie kary i może uda się wam wrócić do rodzinnego domu i tam umrzeć.

Wuj Quirico zaprzeczył z dziką jakąś mocą.

— Nie! Gdybym nawet miał żyć jeszcze tyle lat, ile ziarenek piasku znajduje się w tem morzu

i przebywać tutaj — nie, nie zamordowałem nikogo, nie i nie!

Kazano mu odejść. Wróciwszy, opowiedział wszystko z gniewem Pietrowi, który oczekiwał go niespokojny.

— Do stu piorunów! — odezwał się towarzysz — to wielka niesprawiedliwość. Ja naprawdę zamordowałem księdza, niema co mówić, i jeżeli mię zawołają, przyznam się zaraz. Zechcą mnie uwolnić, niech mię uwolnią. Ale żeby męczyć takiego biedaka, jak ty — o, to wielka niesprawiedliwość!

Wuja Quirica zawezwano nazajutrz powtórnie do dyrektora i zapytano o to samo.

Czuł, że krew uderza mu do głowy; jeszcze chwila a rzuci się na dyrektora, tak bardzo nie bał się już niczego.

— Więc skoro tak — przemówił dyrektor zmieniając głos — wiedzcie, że znalazł się prawdziwy winowajca. Właściwie przyszedł i przyznał się, ale to na jedno wychodzi. Przygotujcie się więc na to, że będziecie niebawem wolni.

Wuj Quirico odszedł, drżąc na całym ciele, a przybywszy do wuja Pietra, zaczął płakać serdecznie, jak nigdy.

— Co się stało?

— Znalazł się prawdziwy morderca — odpowiedział Quirico, powtarzając słowa dyrektora. — Właściwie sam przyszedł i przyznał się, ale to wszystko jedno. Mam się przygotować na to, że będę wolny.

Wuj Pietro zaczął również płakać. Płakali obaj, łzami bólu i radości.

— Cóż ze mną będzie? — zapytał Pietro.

— A ze mną? Wolność, to taka piękna rzecz... Odzyskam dobre imię, ale jestem już stary, nie potrafię więcej pracować, nie będę mógł wyżyć, nie mam nikogo...

— Dadzą ci coś na drogę.

— Nie potrzebuję jałmużny! — Dlaczego ty mi nie powiesz, gdzie ten dzban? — dodał z uśmiechem smutnym, nieco ironicznym.

Twarz wuja Pietra zajaśniała.

— Prawda! Dlaczego ci nie powiem? Jesteś biedakiem. Tak, powiem ci. Myślałem o tem. Ale wspomnij o mnie, gdy będziesz się modlił.

— Ach! Ja nie pamiętam modlitw! — zawołał wuj Quirico jak gromem rażony. — Zapomniałem o Bogu, lecz Bóg nie zapomniał o mnie. Chciał mię tylko doświadczyć, a ja żyłem jak ten poganin...

W dniu wyjścia z więzienia dowiedział się Quirico od wuja Pietra, gdzie znajduje się dzban.

* * *

Serce biło starcowi potężnie, gdy zapuszczał się w lasy i poznawał miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkało go nieszczęście. Lasy były przetrzebione, gdzie indziej wyrąbane zupełnie, lecz wśród bżów nad potokiem słychać było jeszcze drżące *kju kju* leśnego ptaszka, z głębi dochodziło powolne i równe kukanie kukułki — a te lasy budziły tyle dalekich wspomnień w duszy Quirica...

Dławił go jakiś niewytłumaczony smutek. Myślał o tem, że stał się złym po upływie tylu lat i że wątpił w miłosierdzie Boże. Myślał o wuju Pietrze i pytał samego siebie, czy nie był lepszy od niego ten człowiek, który wprawdzie dopuścił się zbrodni, ale żałował za nią, poddając się woli Bożej i spełniając dobre uczynki.

O, nie, on nie odnajdzie dzbana, nie zasłużył na to, ponieważ za dużo grzeszył, za dużo wątpił. Potem żałował, że znów wątpi, modlił się i szedł dalej swą drogą.

Wieczorem przybył na oznaczone miejsce. Był to laszek topolowy, samotny i leżący zdala od siedzib ludzkich. Noc kładła się na ziemię jasna, jasno błyszcząły gwiazdy; topole wydłużały się wgórze, pnie ich białe jak olbrzymie srebrne kwiaty; z ziemi, miękkiej od liści, szła jakaś wilgotna i nieuchwytna woń...

Wuj Quirico wydobyl z zanadrza małą motykę i szukał długo po ziemi kawałka drzewa, aby ją umocować. Potem oczekiwał wschodu księżyca. Serce biło mu jak młotem. Chodziło przecież o resztę dni jego życia, o spędzenie starości w najokropniejszej nędzy, jeżeli mu Bóg nie dopomóż. Usiadł na ziemi i ukrył twarz w dłoniach.

— Ach, ileż to on nagrzeszył!... Ale żałował gorzko i czuł, że jeśli nawet nie znajdzie dzbana, nie będzie narzekał, widząc w tem sprawiedliwą karę Bożą.

Tymczasem zeszedł księżyc. Zroszone liście topól błyszcząły białe, wilgotna woń ziemi stawała się wyraźniejszą.

Wuj Quirico pochylił się i zaczął kopać, pełen trwogi, w tem nieskończonem milczeniu pustkowie, przerywanem tylko odgłosem przez niego wytwarzanym. Wyrzucał ziemię wilgotną, czarną, pachnącą, która padała również na kolana coraz bardziej zginającego się starca. Wreszcie... motyczka wydała dźwięk metaliczny, natrafiwszy widać na coś twardego. Starzec sięgnął ręką i poczuł ucho dzbana. Zaczął kopać z dzikim zapalem. Za chwilę dzban był na wierzchu. Potrząsnął nim. Zadźwięczały wstrząsane pieniądze jak muzyka: *drin drin drin...*

Wtedy się przeżegnał, upadł na kolana i wzniosłszy twarz ku niebu, począł dziękować Stwórcy za okazane miłosierdzie.

NA STUDJACH W RZYMIE.

W Rzymie zamieszkali obaj studenci na trzeciem piętrze kamienicy przy placu della Consolazione, u pewnej wdowy, matki dwu uroczych panienek.

Spali obaj w tym samym pokoju. Pokój był duży, lecz niebardzo wesoły. Żółta kapa, zastępująca rodzaj parawanu, dzieliła go na dwie części. Okno wychodziło na wewnętrzne podwórze.

Kiedy Ananja spojrział pierwszy raz przez to okno, doznał uczucia rozpachy i przerażenia. Nie widział nic, jak tylko wysokie, brudnożółte mury, podziurawione długimi, nieregularnie umieszczonymi oknami, i nędzną bieliznę wątpliwej czystości, rozwieszoną na poprzeciąganych drutach. Jeden z tych drutów, z ruchomymi kółkami, od których zwisały pętlice ze sznurków, biegł popod samem oknem studentów. Gdy Ananja spoglądał w rozpaczliwym smutku na mury, rozpływające się na bładem tle wieczornego nieba, Baptysta szarpnął drut i zaczął się śmiać.

— Popatrzno, kochasiu, jak te kółka i pętlice ze sznurków tańczą! Zupełnie, jak żywe istoty. Tak samo

jest i w życiu. Drut przeciągnięty ponad brudnym podwórzem — a ludzie poruszają się nad przepaścią nędzy.

— Nie zwracaj mi głowy — rzekł Ananja. — Jestem i tak w dość smutnym nastroju. Lepiej chodźmy stąd; mam uczucie, że się tutaj duszę.

Wyszli. Chodzili długo i zmęczeni się, ogłuszeni turkotem powozów, oślepieni blaskiem świateł, oszołomieni gwałtowną jazdą i chrapliwymi porykami samochodów.

Ananja czuł się samotnym wśród tłumów. Miał wrażenie, że gdyby nagle zasłabł i zaczął wołać, niktby go nie usłyszał i nie przyszedł na pomoc. Z gorącą tęsknotą wspominał Cagliari. O, ten balkon czarowny, widnokrąg morski i słodkie spojrzenie gwiazdy wieczornej! Tu nie istniały więcej ani gwiazdy ani księżyc ani daleki widnokrąg — istniało tylko niesmaczne nagromadzenie kamieni i mrowisko ludzi, którzy przybyłemu z głębokiej prowincji studentowi wydawali się rasą zgoła różną i niższą od jego własnej.

Widziany poprzez oszołomienie i zmęczenie pierwszych dni, poprzez smutek mrocznego mieszkania na placu della Consolazione — Rzym napawał go prawie śmiertelnym przygnębieniem. W starej części miasta o ciasnych uliczkach, cuchnących sklepikach, nędznych wnętrzach, bramach, które wyglądały jak gardziele czeluści, schodkach, które zdawały się gubić w mrocznych siedzibach cierpienia — przypominał sobie najnędzniejsze wioski sardyńskie. W mieście znów nowożytnem czuł się zbłąkanym i przytłoczonym, wszystko wydawało

mu się ogromnem: ulice wytyczone przez olbrzymów do użytku olbrzymów, domy górami, place pastwiskami sardyńskimi — nawet niebo było zanadto wysokie i głębokie.

We wszechnicy, dokąd zaczął uczęszczać na wykłady prawa cywilnego i karnego i na wykłady profesora Henryka Ferriego, czekało go również rozczarowanie. Słuchacze nie robili przed godziną nic innego, jak tylko hałasowali, śmiali się i podrzywali ze wszystkiego. Zdawało się, że drwią sobie nawet z samego życia. Zwłaszcza w sali No IV, przed wykładem profesora Ferriego, wrzask i zabawa przechodziły granice przyzwoitości. Ten i ów słuchacz wskakiwał na katedrę i rozpoczynał parodię lekcji, przyjmowaną wyciem, gwizdaniem, oklaskami i plugawymi okrzykami. Niekiedy słuchacz, o twarzy niesłychanie bezwstydnej, naśladował miauczenie kota lub pianie koguta. Wtedy krzyki i gwizdy potęgowały się, rzucono kule papierowe, pióra, płonące zapałki — aż wreszcie przybycie profesora, którego witano ogłuszającymi oklaskami, kładło kres rozruchaniu.

Ananja czuł się osamotniałym i smutnym wśród podobnych objawów radości. Zdawało mu się, że należy do świata odmiennego niż ten, w którym był zmuszony pędzić teraz życie. Tylko wtedy, gdy profesor zaczynał wykladać, doznawał głębokiego wzruszenia, jakby uczucia radości. Masy przestępców, samobójców, złych kobiet, obłąkańców, ojco- i matkobójców przesunęły się, wywołane potężnym głosem profesora, przed

podnieconą wyobraźnią słuchacza. Wśród tych postaci odróżniał jedną, która ze spuszczonei oczyma przesuwała się tam i zpowrotem przed jego wzrokiem. Zamiast jednak ze zgrozą, spoglądał na nią z miłością, pragnąc gorąco wyciągnąć do niej rękę.

Razu pewnego wieczorem przechodził z Baptystą przez via Nazionale. Blask lamp elektrycznych zlewał się z światłem księżyca; wszystkie okna gmachu bankowego były rześście oświetlone.

— Zdaje się, jakoby wszystko złoto, zamknięte w banku, jaśniało przez te okna — rzekł Ananja.

— Doss-konale! Zaraz widać, że moje towarzystwo robi z ciebie ludzi.

— O, jestem dziś bardziej romantycznie nastrojony, niż kiedykolwiek. Chodźmy do Koloseum.

Poszli i krążyli długo w boskiej tajemnicy tego miejsca, patrząc na twarz księżycową, zaglądając do środka przez każdy łuk. Potem usiedli na błyszczącej kolumnie i obaj wzdychali.

— Czuję radość, podobną do bólu — rzekł Ananja.

Baptysta nie odpowiedział. Dopiero po długim milczeniu odezwał się:

— Mnie się wydaje, że jestem na księżycu. Czy nie sądzisz, że na księżycu musi się doznawać tego samego, co tutaj — w tym wielkim, zamarłym świecie?

— Tak — potwierdził Ananja ze łzami. — To jest dopiero Rzym.

BRAT FRYDERYK.

Wychodziłem rankami często z mym bratem. O tej porze wszystko było świeże, lekkie i swobodne. Towarzystwo Fryderyka uszlachetniało mię i wzmacniało, jak ożywcze tchnienie lasu. Fryderyk miał wtedy lat dwadzieścia siedm; żył niemal bez przerwy na wsi — zyciem umiarkowanym i pracowitem; zdawał się nosić w sobie zjednoczoną, łagodną szczerłość ziemi. Człowiek ten był w porządku ze swą duszą. Leon Tołstoj⁸⁹, całując go w jego piękne, pogodne czoło, byłby go nazwał swoim synaczkiem.

Chodziliśmy polami, bez określonego celu, rzadko kiedy rozmawiając ze sobą. On wychwalał żyzność naszych włości, objaśniał mi wprowadzone w gospodarce zmiany, pokazywał ulepszenia. Chaty naszych chłopów były obszerne, pełne powietrza i czyste. Nasze stajnie pełne były zdrowego i dobrze utrzymanego bydła. Nasze mleczarnie znajdowały się we wzorowym porządku. Często przystawał idąc i przypatrywał się uważnie jakiejś roślinie. Jego męskie ręce posiadały niewysłowioną

delikatność w chwili, gdy dotykały drobnych, zielonych listków na kończynach młodych gałązek. Nieraz szliśmy przez sad. Brzoskwinie, grusze, jabłonie, czereśnie, śliwy, morele pokryte były tysiącami kwiecica.

Podczas gdy ja chwaliłem kwiaty, on, widząc w swej wyobraźni wiszące w przyszłości skarby, mawiał:

— Czekaj, zobaczysz owoce.

— — — — —
— — — — —

Fryderyk był człowiekiem wzorowym: dobry, dzielny, bystry. Nic w moich oczach nie mogło się równać w swej szlachetności z widokiem owej młodocianej duszy, oddanej zasadzie „czynienia dobrego“, poświęconej wyłącznie umiłowaniu ziemi. Zdawało się, że oczy jego nabrały jakiejś jasnej barwy roślin od ciągłego wpatrywania się w rzeczy zielone.

— Chrystusie ziemi! — zawołałem nań pewnego dnia, uśmiechając się.

Był to poranek pełen niewinności, jeden z owych poranków, które roztaczają obraz przedświt w zamierzchłych czasach, w okresie dzieciństwa ziemi. Na między granicznej brat mój rozmawiał z gromadką rolników. Rozmawiał stojąco, pochylając się całym ciałem ku otaczającym a jego spokojne ruchy były żywym odbiciem prostoty słów jego. Ludzie wiekowi, posiwiali w mądrości, ludzie dojrzały, już bliscy progu starości, słuchali tego młodzieńca. W ich muskularnych ciałach widać było ślady wielkiej, wspólnej pracy. Obok nie było żadnego drzewa, zboża zaledwie odrosły od ziemi, —

więc też postaci rozmawiających występowały wyraziście w świętości porannego światła.

Widząc, że zmierzam w jego stronę, brat mój pozwolił swym ludziom wyjść naprzeciw mnie. Wtedy to mimowoli wyrwało mi się z ust owo pozdrowienie:

— Chrystusie ziemi, hosanna!

Była w jego duszy nieskończona pieczołowitość o wszystkie twory roślinne. Żadna roślinka nie uszła uwagi jego bystrych źrenic, jakby wszystkowidzących. W czasie naszych przechadzek porannych zatrzymywał się ciągle, by uwolnić czyto od ślimaka, czy od gąsienicy, czy od mrówki maleńki listek. Idąc pewnego ranka, uderzałem bezmyślnie końcem swej laski po roślinach, a delikatne, zielone wierzchołki, odcięte jednym uderzeniem, padały na ziemię. Brat cierpiał z tego powodu, gdyż wziął mi laskę z rąk — ruchem wszelako delikatnym — i zarumienił się, myśląc może, iż ta jego litość wydaje mi się przesadną uczuciowością. O, ten rumieniec na tem obliczu, tak męskim!...

Innego dnia, gdym chciał ułamać z jabłoni gałąź, okrytą kwieciami, dostrzegłem w oczach Fryderyka cień żalu. Natychmiast poniechałem zamiaru i cofnąłem rękę mówiąc:

— Jeżeli ci to przykrość sprawia...

On zaczął się śmiać głośno.

— Ależ nie, nie... Obłam nawet całe drzewo!

Tymczasem gałąź, już złamana i utrzymująca się jeszcze tylko na swych żywych włóknach, zwiisała wzdłuż pnia: i właśnie owo miejsce złamania, wilgotne

od soku, miało pozór rzeczy, która cierpi; a te kwiateczki delikatne różowej barwy, podobne do kwiatków dzikiej róży, drżały nieustannie w powietrzu.

Rzekłem wtedy, jakby chcąc złagodzić brutalność tego uszkodzenia:

— To dla Julji...

I przerwawszy ostatnie żywe włókienka, oderwałem złamaną już gałąź...

OBJAŚNIENIA.

Str. 13. Aleksander *Manzoni* (1785—1873), poeta i powieściopisarz, naczelny przewodźca romantyków włoskich. Arcydziełem jego poezji są „Hymny święte“, ale ponad wszystkie utwory wznosi się romans historyczny „Narzeczeni“ (losy pary wieśniaczej na tle dziejowego życia Włoch półn. z pierwszej połowy XVII w.), odzwierciedlający duszę samego twórcy, jednej z najszlachetniejszych i najczystszych natur ludzkich, jakie kiedykolwiek wyraziły się w poezji. Zasadniczym tonem tego nastroju jest chrześcijański pogląd na świat. Jest to najbardziej chrześcijańska powieść, jaką kiedykolwiek napisano, a zarazem jedna z najpiękniejszych w literaturze europejskiej.

Str. 17. Sylwusz *Pellico* (1788—1854), pokrewny Manzoniemu czystością i mocą szczerze chrześcijańskiego nastroju duszy, połączonego z głęboko uczuciowym liryzmem, szlachetny patriota włoski, przez dziesięć lat dręczony przez władze austriackie w więzieniach Wenecji i Grajgóry. Doznane w nich męczarnie fizyczne i moralne opisał w pamiętniku pt. „Moje więzienia“, który przez swoją szczerłość, prostotę i podniosłą rezygnację należy do najbardziej wzruszających książek na świecie. — 1) Więzienie. — 2) Fryderyk Schiller, obok Goethego największy poeta Niemiec (1759—1805). — 3) Katylina, Rzymianin, zwyrodniały potomek arystokratycznego rodu, z jednej strony ogromnie uzdolniony, z drugiej obciążony najgorszymi wadami, uknuł w r. 63 pd. Chr. spisek celem obalenia istniejącego porządku i zagarnięcia władzy w swe ręce. Wykrycie tego spisku i udaremnienie planów Katyliny były zasługą

słynnego mowcy i męża stanu Cycerona. — 4) Lukrecja, żona Kollatyna, wzór Rzymianki, sama sobie odebrała życie z powodu doznanej zniewagi (z końcem VI w. pd. Chr. według rzymskich podań).

Str. 31. Rafał *Lambruschini* (1788—1873), z zawodu duchowny, poświęcał się w późniejszym wieku naukom ekonomii politycznej i rolnictwa, potem wyłącznie sprawie wychowania. — 5) Galilei Galileo, jeden z największych uczonych włoskich (1564—1642), jeden z twórców nowoczesnego przyrodoznawstwa, zajmował się głównie fizyką i astronomją, bronił nauki Kopernika, ociemniał w r. 1637. W Rzymie potępiono jego naukę, wezwano przed sąd i skazano na więzienie.

Str. 37. Ludwik *Settembrini* (1813—1876), uczonego historyk literatury włoskiej, potem nauczyciel wymowy, minister oświecenia i profesor literatury włoskiej w uniwersytecie neapolitańskim. W r. 1849 za udział w spisku przeciw panowaniu Burbonów w Neapolu skazany na śmierć. Karę tę zamieniono mu jednak na dożywotnie więzienie. W r. 1860 odzyskał wolność. — Z dzieł najslawniejsze „Wykłady o literaturze włoskiej“ i „Pamiętniki“.

Str. 41. Piotr *Thouar* (1809—1861), dziennikarz a później dyrektor szkoły powszechnej. Odznaczył się zwłaszcza jako pisarz dla młodzieży i ludu. — 6) Tiziano Vecellio (1477—1576), jeden z najslawniejszych malarzy włoskich. Malował obrazy religijne i historyczne. — 7) Leon X, papież 1513—1521, należał do największych opiekunów sztuki i nauki. Na jego dworze przebywali tacy znamieni mistrze, jak Rafael, Michał Anioł i i. Autor słynnej bulli przeciw nauce Lutera. — 8) Michał Anioł Buonarroti (1475—1564), rzeźbiarz, malarz, architekt i poeta, jeden z największych mistrzów wszystkich czasów i całego świata (olbrzymi posąg Dawida i Mojżesza, grobowce Medyceuszów, malowidła w kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie, kopia kościoła św. Piotra w Rzymie, sonety). — 9) Raffaello Santi (1483—1520), obok M. Anioła największy i najslawniejszy malarz w Chrześcijaństwie (słynne Madonny i malowidła — stances — w niektórych komnatach Watykanu). — 10) Giorgione da Castelfranco albo Giorgio Barbarelli, malarz włoski, jeden z najslawniejszych mistrzów tzw. szkoły weneckiej, 1478—1510. —

11) Franciszek I, ówczesny król francuski. — 12) Karol V współczesny Franciszkowi I władca Niemiec, Hiszpanji, Neapolu i Niderlandów. — 12) Paweł Veronese (1528—1588) i Tintoretto (1519—1594), sławni malarze włoscy.

Str. 47. Jan *Franco* (* 1824 † ?), prałat piemontki, autor romansów. — 13) Sold, moneta włoska, około 4 fenigów.

Str. 51. Temistokles *Gradi* (1834—1887), pisarz tokański, dyrektor szkół; prace jego odznaczają się prawdziwie wytwornym stylem. Pisał także dla młodzieży.

Str. 57. Leon *Castelnuovo* (1835—1881), powieściopisarz i poeta dramatyczny, który brał tematy do swych dzieł głównie z historii rzymskiej. — 14) Henryk Wodsworth Longfellow (1807—1882), najznakomitszy poeta amerykański, jeden z literackich pośredników między Ameryką a Europą. Dał ojczystej literaturze mistrzowskie przekłady pierwszorzędných arcydzieł poezji europejskiej, zwłaszcza Dantego (zob. niżej). — 15) De Amicis — zob. niżej. — 16) Bersaljerzy = „strzelcy“, rodzaj wojska. — 17) Piotr Cossa, poeta bardzo płodny (1834—1881), autor licznych dramatów i tragedji. — 18) Ta druga — tytuł komedji.

Str. 67. Antoni *Barrili* (1836—1908), walczył w szeregach Garibaldiego (zob. niżej) i był jego sekretarzem; napisał bardzo wiele powieści i nowel, do których tematy brał z współczesnego życia towarzyskiego lub historii. — 19) Diego syn, Adelantado brat Kolumba. — Kolumbowi, jak wiadomo, odplacono czarną niewdzięcznością. — 20) In manus tuas itd. = W ręce Twoje, Panie, oddaję ducha mego.

Str. 77. Renat *Fucini* (*1843), wybitny przedstawiciel włoskiego weryzmu (zob. Wstęp). Przepiękne w tym stylu jego obrazy radości i smutku z życia tokańskiej Maremmy (Pobrzeża). Jest on też jednym z przedstawicieli poezji gwarowej lirycznej i epicznej. — 21) Autor ma na myśli wychowanie, dawane dzieciom w epoce przed wyzwoleniem i zjednoczeniem Włoch. — 21) Paol, moneta, około pół marki.

Str. 87. Antoni *Fogazzaro* (* 1842), popularny poeta i powieściopisarz, surowy i bezwzględny moralista, przedstawiający życie

z punktu widzenia niezłomnych zasad moralnych. — 23) *A posteriori* = z tyłu. — 24) *Cupio dissolvi* = pragnę śmierci. — 25) Orland Szalony, wspaniały poemat Arjosta, najznakomitszego poety epicznego Włoch (1474—1533), opisujący rycerskie przygody z podać o walkach cesarza Karola Wielkiego z niewiernymi. — 26) Franciszek Sforza, książę Medjolanu. — 27) Apostoł Zeno, włoski poeta i historyk literatury 1668—1750. — 28) Piotr Aretino, osławiony z nieobyczajnych pism poeta włoskiego odrodzenia 1492—1557. — 29) Feniks, według wyobrażeń starożytnych Egipcjan cudowny ptak, o postaci orła, z upierzeniem złoto-purpurowem a oczyma jak gwiazdy. Podanie mówi, że żyje 500 lat, a czując śmierć swoją, ściele sobie gniazdo z mirry i wonnych ziół, zapala je, a spłonawszy, powstaje z martwych, odmłodzony z własnych popiołów. — 30) Jan Bessarjon (1395—1472), bazylijanin, potem arcybiskup i kardynał, bizantyjski uczony, przeszczepił jeden z pierwszych po upadku Konstantynopola naukę i filozofję starogrecką do krajów Zachodu.

Str. 109. *Salwator Farina* (* 1846), napisał wiele powieści, najlepsza „Pan Ja“, gdzie znajdujemy wymieniony typ samoluba. Wiele dzieł jego tłumaczono na kilka języków europejskich. — 31) *Cycon* (106—43 pd. Chr.), światowej sławy pisarz i mowca starożytnego Rzymu, filozof i mąż stanu. — *Wergiljusz* (70—19 pd. Chr.), wielki epik Rzymu. — *Dante Alighieri* (1265—1321), największy poeta Włoch (Dzieło: *Boska komedja*, przedstawiająca zmyśloną wędrówkę poety po piekle, czyścicu i niebie). — *Horacjusz* (65—8 pd. Chr.), jeden z największych poetów rzymskich. — 32) *Hic — hoc* = ten, ta, to. — *dies, diei* = dzień, dnia. — 33) *Rząd słów*: gra wyrazów, trudna do przełożenia. W jęz. włoskim *regimento*, tzn. pułk, „regiment“. — 34) *Errare* itd. Po polsku: Błądzić jest rzeczą ludzką; jestem człowiekiem, więc nic ludzkiego nie jest mi obce. — 35) *Nominativus, genetivus, dativus* = przypadek 1, 2, 3-ci. — 36) *Gra wyrazów*. W języku włoskim *duomo* znaczy katedra, tum. — 37) *Singularis*, liczba pojed.

Str. 115. *Edmund de Amicis* (* 1846), powieściopisarz i poeta bardzo lubiany i czytany, przedstawia rzeczywistość życiową w bar-

dzo dosadnem i charakterystycznym a przytem w pogodnem prze-ważnie oświeteniu. Z nowel najpiękniejsze „Opowieści z życia żoł-nierskiego“, z powieści najsłynniejsza „Serce“. Słynne opisy po-dróży. — 38) Lir, moneta, mniej niż marka. — 39) Garibaldi Józef (1807—1882), wielki patriota i wojownik o zjednoczenie i niepodle-głość Włoch. W czasach pokoju sam zajmował się uprawą roli na wysepce Kaprerze (Capri), którą nabył na własność. — 40) Manzoni ogłosił pismo o włoskim języku narodowym. — Przytoczony wiersz jest pierwszym wierszem Boskiej komedji Dantego.

Str. 129. Ildefons *Nieri* (* 1853, um. niedawno), profesor i literat, autor słynnych we Włoszech „Stu opowiadań“, tudzież pię-knych nowel. — 41) Zapukali do drzwi. — 44) zaledwie. — 43) zaczęło świtać. — 44) pocałuj. — 45) proś. — 46) idź. — 47) ogniska. — 48) przezwisko. — 49) dopóki. — 50) potańcz troszkę. — 51) kręć; wykręcaj się. — 52) wnętrza. — 53) nieco. — 54) polan. — 55) tu-taj. — 56) cmentarz. — 57) tam. — 58) z powodu. — 59) porządna dał naukę, gruntownie nauczył rozumu. — 60) tylko. — 61) mówił. — 62) rozgniewał się. — 63) rozsierzdził się. — 64) stąd. — 65) chytry, filut. — 66) pasterz owiec w górach. — 67) zetknął się. — 68) no (często nic nie znaczy). — 69) łąki w górach. — 70) podobał się. — 71) „nabasował mu“. — 72) cóżby to. — 73) przebiegły, chytry. — 74) ulewę. — 75) sypał. — 76) gościńcu. — 77) turniami. — 78) oba-wiać. — 79) prędzej. — 80) warjat. — 81) nudzić, nagabywać. — 82) trzoda. — 83) wracać z owcami. — 84) grudniu. — 85) doku-czyło, dojadło. — 86) żal.

Str. 139. Matylda *Serao* (* 1856), powieściopisarka, autorka wielu nowel, które znalazły powszechne uznanie a odznaczają się bystrością obserwacji i żywym stylem. — 87) Orjon, według podań greckich olbrzymi strzelec, ulubieniec Jutrzenki, zabity przez bogi-nię Dianę, po śmierci przeniesiony wraz ze swym psem pomiędzy gwiazdy, gdzie tworzy gwiazdozbiór. — 88) Mikołaj Ryba. Według podania neapolitańskiego miał żyć w Neapolu z końcem XV w. zna-komity pływak i nurek, nazywany powszechnie rybą. Zanurzywszy się raz na dno słynnego wiru Charybdy w cieśninie Mesyńskiej

w poszukiwaniu wrzuconego przez króla puharu, nie wypłynął więcej. Na tem tle osnuł poeta niem. Schiller prześliczny wiersz pt. Nurek (Der Taucher).

Str. 159. Pompejusz *Molmenti* (* 1852), profesor liter. włoskiej w Wenecji, autor dzieł historycznych, powieści, życiorysów, szkiców literackich, opowiadań itp.

Str. 163. Gracja *Deledda* (* 1873), powieściopisarka, rodem z Sardynji, rozpoczęła zawód literacki napisaniem noweli już w 15-tym roku życia. W dziełach swych kreśli z mistrzostwem krajobraz, społeczne stosunki i charakterystyczne typy swej wyspy rodzinnej.

Str. 183. Gabriel *d'Annunzio* (* 1864), głośny powieściopisarz i poeta, przewyższa wszystkich współczesnych pisarzy włoskich wysokim artyzmem formy i bogatą treścią poetycką. Swemi zwł. powieściami oryginalnej piękności wzbudził ogromne zainteresowanie w całej Europie a osobliwie we Francji, gdzie więcej nawet znalazł uznania, aniżeli we własnej ojczyźnie. — ⁸⁹⁾ Hr. Leon Tołstoj (* 1828, um. przed wojną światową), genialny a szczery i pełen głębokiej miłości dla ludzi pisarz rosyjski, autor „Wojny i pokoju“, „Anny Kareniny“ itd., zyskał dzięki swym zaletom powszechną cześć w całym świecie cywilizowanym.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

SPIS RZECZY.

	Str.
<i>Wstęp</i>	7
<i>A. Manzoni. Matka</i>	13
<i>S. Pellico. MOJE WIEZIENIA. Uwięzienie</i>	17
Mały przyjaciel	20
Mój klucznik	22
Amputacja nogi Maroncellemu	28
<i>R. Lambruschini. Przygoda Galileusza</i>	31
<i>L. Settembrini. List do żony</i>	37
<i>P. Thouar. Tycjan Vecellio</i>	41
<i>J. Franco. Sprzedaż słonia</i>	47
<i>T. Gradi. Nowy cmentarz</i>	51
<i>L. Castelnuovo. Most</i>	57
Publiczność i autor	62
Drugie fiasko	64
<i>A. Barrili. Ostatnie chwile Kolumba</i>	67
<i>R. Fucini. Słodkie wspomnienia</i>	77
Gdy się wjeżdża do Neapolu	83
<i>A. Fogazzaro. EDEN ANTO</i>	87
<i>S. Farina. Mój syn się uczy</i>	109
<i>E. de Amicis. Stary nauczyciel</i>	115
Szlachetny rys	118
Chłop holenderski	121
Kadyks	125

	Str.
<i>I. Nieri.</i> Głupi Bartek	129
Marzec i juhas	134
<i>M. Serao.</i> Kwieciarka	139
W szkole	148
<i>P. Molmenti.</i> Wenecja	159
<i>G. Deledda.</i> Dwie sprawiedliwości	163
Na studjach w Rzymie	181
<i>G. d' Anunzio.</i> Brat Fryderyk	183
<i>Objaśnienia</i>	187
<i>Spis rzeczy</i>	193

Grupa 2^o KW

255- 38

Biblioteka Uniwersytetu
M. CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 24659


**WYDAWNICTWO
ZAKŁADU NARODOWEGO**

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Lwów, główna ekspedycja wydawnictwa
Kraków, filja, ul. św. Anny 11, telefon 11
własna, ul. Nowy Świat 69, telefon 11
w księgarni św. Wojciecha

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

Poleca następujących autorów:

- 
- Chlebowski B.:** Historia literatury polskiej.
Chrzanowski I.: Nasz hymn.
Czółowski A.: Marynarka.
Jakubski A.: W krainach słońca.
Kallenbach J.: Adam Mickiewicz. 2 tomy.
Kleiner J.: Juliusz Słowacki. Dzieje twórczości. 2 tomy.
Kraushar A.: Warszawa podczas okupacji niemieckiej (1915—1918).
Kubala L.: Jerzy Lubomirski.
— Szkice historyczne.
Kucharski W.: Grottger, malarz powstania styczniowego.
Mickiewicz A.: Pan Tadeusz. Wydanie J. Kallenbacha i J. Łosia.
— Grażyna. Wydanie W. Bruchnalskiego.
— Konrad Wallenrod. Wydanie W. Bruchnalskiego.
Parandowski J.: Mitologia.
Pigoń S.: Do podstaw wychowania narodowego.
Słowacki J.: Anelli. Wydanie J. Kleinera.
Sienkiewicz H.: Ogniem i mieczem. 2 tomy.
— Potop. 3 tomy.
— Pan Wołodyjowski.
— Krzyżacy. 2 tomy.
— W pustyni i w puszczy.
— Zagłoba swatem.
— Pisma zapomniane i niewydane.
Szczepański W.: Egipt. 240 rycin, 8 tablic.
Szczepkowska S.: Słownik szkolny do „Ogniem i mieczem“.
Wojciechowski K.: Ignacy Krasicki.